

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 90

JÓZEF KORZENIOWSKI

KARPACCY GÓRALE

DRAMAT W TRZECH AKTACH

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — O. GEBETHNER I SPÓŁKA

Cena 10 kop., 26 hal.

321

BIBLIOTECZKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH 90

JOZEF KORZENIOWSKI

KARPACCY GÓRALE

DRAMAT W TRZECH AKTACH

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



KDZ
KAR

321

OSOBY:

Antoś Rewizorczyk, młody góral.

Marta, jego matka.

Prakseda, jego narzeczona.

Maksym Tychonczuk, stary góral, wuj Praksedy.

Prokop, strzelec rządowy.

Anna, jego żona.

Herszko, arendarz w miasteczku, niedaleko ode Lwowa.
Feldfebel¹⁾.

Mandataryusz, we wsi góralskiej Żabie²⁾.

Komisarz cyrkularny³⁾ z Kut.

Oficer od piechoty.

Górale starzy i młodzi, różnej płci. — Opryszki, żołnierze.

Scena odbywa się w Karpatach, między wsią Żabie i węgierską granicą po Czeremoszu⁴⁾.

¹⁾ Feldfebel — podoficer.

²⁾ Mandataryusz — dawny urzędnik policyjno-sądowy w Galicyi; póki Austria miała ustrój biurokratyczny, mandataryusze i inni niżsi urzędnicy w Galicyi dopuszczali się licznych bezprawii.

³⁾ Komisarz — czasowy albo stały urzędnik, przeznaczony do specjalnych obowiązków; cyrkularny — od cyrkul = obwód, okrąg.

⁴⁾ Czeremosz, rzeka we wschodniej Galicyi, wypływa z Karpat dwoma potokami Czarnym i Białym Czeremoszem; z ich połączenia powstaje Czeremosz właściwy, uchodzący do Prutu. Wieś Żabie leży nad Czarnym Czeremoszem.

Nyma ryby w Czeremosi,
Wsiu pojila szczuka;
Powisyły Tychonczuka
I Rewizorczuka¹⁾.
Pieśń gminna góralska.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Miejsce przed karczmą we wsi Żabie. Huculi, kobiety i dziewczki w świątecznych sukniach; starcy siedzą przy stole, młodzi koło kobiet i dziewcząt, różnie ugrupowani. Ubiór mężczyzn następujący: opięta kurtka bez rękawów barankowa, włosem na spód, pas szeroki, nabijany żółtymi gwóźdźkami; spodnie granatowe lub czerwone, na które spuszczone koszula; chodaczki lekkie skórzane, za pasem łyżka, nóż i para pistoletów; włosy długie, spadające w kędziorach na ramiona; kapelusz czarny, okrągły, z dużymi skrzydłami i z piórkiem; na ramionach płaszcz amarantowy, bez rękawów, nie dosięgający do kolan, po brzegach czarnym sznurkiem wyszyty, takimże sznurkiem zawiązany pod szyją. Starzy jednakowo odziani, jak i młodzi. U każdego, bez różnicy wieku, w lewej ręce toporek. Kobiety ubrane, jak

¹⁾ Niema ryb w Czeremoszu, wszystkie zjadł szczupak; powieszono Tychonczuka i Rewizorczuka (rusińskie).

Galicyanki. U dziewczek w końce warkoczów, zarzuconych na wierzch głowy, wplecione białe kosteczki, i amarantowe tasiemki lub wstążki, poza uszy spuszczone, spadają na piersi; rękawy u koszul wyszywane; koszule bez kołnierzów, ale wysoko pod szyją ściągnięte; mnóstwo paciorek i koralów z dukaczem. Przy podniesieniu kurtyny słychać nutę znanej kołomyjki, przy akompaniamencie fletu.

Chór kończy pieśń.

Już wam więcej nie zadzwonią
Dzwony Kołomyi ¹⁾).

Maksym powstaje od stołu i wychodzi na środek.
Ej! przestańcie, do licha! Ja tej pieśni cierpieć nie mogę. Ona zawsze coś złego przepowiada.

Prakseda. Czemuż to, wujciu Maksymie?

Maksym. A ot czemu! Gdy mnie brali w rekruty, jakiś dyabeł wówczas tę pieśń mi zaśpiewał. Za to też piętnaście lat nosilem karabin i ubierałem się codziennie w czarne kamasze. Teraz, gdy mnie Niemcy wypuścili, daj im, Boże, zdrowie, i pozwolili obaczyć swoje jodły i połoniny ²⁾), nie chcę, żeby mi się nawet śnił biały mundur. Hej! Fediul! chodź tu! Ty moją mi piosnkę zagraj, a ja, stary, wam zaśpiewam po swojemu.

*Fedor występuje z fletem, inni grupują się koło niego,
Maksym śpiewa.*

Czerwony płaszcz, za pasem broń,
I topór, co błyska zdala,

¹⁾ Miasto w Galicyi Wschodniej, siedzisko władz sądowych i administracyjnych.

²⁾ Obszerne i bogate pastwiska na wierzchołkach gór, nie dochodzących do takiej wysokości, jak Kręta i Czarna, nazywają się w tamtejszym języku połoniny. (Przyp. Aut).

Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk,
I Czarna Góra ¹⁾ szernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg;
Odżyły nasze nadzieje! —

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas, kędziory trzód,
Weseli kapcie górale!

Polonin step na szczytach gór;
Tam trawa w pas się podnosi,
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato,
Tam runom ich pozwólcie rość,
Tam idźcie na całe lato.

A gdy już mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożne konie;
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.

Chór. Czerwony płaszcz, za pasem broń,
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

¹⁾ Łańcuch Karpat na granicy węgierskiej w bliskości Zabiego.

Starzec. Dziękujemy, Maksymie, dziękujemy. Prawdę powiedziałeś. Tak zawsze bywało, i dobre były czasy.

Jeden z młodych. Alboż teraz złe, ojczy? — Spójrzycie na nas, czy to my nie zuchy? a tu spojrzycie, czy to nie jagódki?

Chwyta za rękę jedną z dziewczek i pokazuje ją starcy; ona się wykręca i ucieka.

Starzec. Prawda, chłopczel! dla was to i teraz czasy dobre, ale dla was także mogą być i złe. Nam, starym, już wszystko jedno.

Młody. Będzie, co Pan Bóg da, ojczy!

Maksym. Dobrze mówisz. Lubię cię za to. Będzie, co Pan Bóg da. A teraz, kiedy piosenkę pochwalili, szynkarko, daj wódki! ja zapłacę. *Pije.* Dobra! Dajże jeszcze i ojcom. Pijcie, ojcowie, za zdrowie tych zuchów i tych jagódek.

Młodzi. Dziękujemy.

Prakseda *przystępuje i głaszcze go pod brodę.*
I my dziękujemy, wujciu Maksymiel!

Maksym. A nu, dzieci! czyj tu topór najlepszy? Kiedyś, nim mię wzięli w kamasze, nikt się nie śmiał próbować z Tychończukiem, a teraz Bóg wie. Precz! odstapcie! Wiele kroków do tego drzewa?

Kilka głosów. Z dziesięć.

Maksym. Dziesięć — dobrze. Ale pierwszej po dawnemu. Dawajcie tu kapelusz. Kto chce ze mną rzucać?

Kilku. Ja — i ja — i my.

Maksym. Dobrze, dobrze. Ochota gorsza od niewoli. A będzie wam wstyd, jak was stary zwycięży. Praksedo, trzymaj! *daje jej trzymać kapelusz.* Rzuć-

cie tu każdy po pięć krajcarów ¹⁾). Kto odetnie tę oto gałąź o dziesięć kroków, wszystko, co w kape-luszu, to jego.

Prokop. Czekaście! *rzuca cwancygiera* ²⁾).

Prakseda. Oho! jaki szczodry! cwancygiera rzucił.

Prokop. Nie turbuj się, moja miła! Wróci on do mnie.

Prakseda. Może i wróci, bo najlepszego między wami niema.

Prokop. I któż to ten najlepszy? he?

Prakseda. He! niby to ty nie wiesz, o kim ja mówię. Gdyby on tu był, jabym swoje korale i swego dukacza ³⁾ wrzuciła.

Prokop. Dla mnie?

Prakseda. Jutro rano — dla ciebie.

Maksym. Czy twój Antos Rewizorczyk taki zuch? O! patrzcie, jak poczerwieniała — pewnie zgadłem. *Prakseda daje znak potwierdzenia z figlarnym uśmiechem.* Kiedy tak, zaczekajmyż na Antosia.

Prokop. A toż znowu co? Gromadzie czekać na jednego? starszym na młodzika?

Młody. Nie do smaku mu topór Antosia.

Prakseda. Cwancygier to pieniądze.

Kilku. Boi się.

¹⁾ Krajcar — dawna moneta austriacka; 5 krajcarów = 8 groszy.

²⁾ Cwancygier — dawna moneta austriacka = 20 krajcarom.

³⁾ Dukacz — złoty pieniądz albo medal, noszony przez kobiety u koralu na piersiach.

Prokop. Nu, czekajcież, jeżeli chcecie. *Na stronie.* Przeklęty młokos!

Młody. Niedługo będziecie czekać — patrzcie — otoż i on!

Antoś *wchodzi szybko.* Co się tu robi? Co ty masz w ręku? **Praksedo!**

Prakseda. Potrzymaj, Antosiu! *daje mu kapelus, sama zdejmuję korale i rzuca* tylko mię nie zawieź, niech cię Pan Bóg broni! *grozi.*

Antoś. Co to znaczy?

Maksym. Zakład, Antosiu! -- Kto tę gałąź odeńnie o dziesięć kroków, weźmie wszystko, co w kapeluszu.

Prakseda. I moje korale — pamiętaj!

Antoś. Zgoda — tylko o dziesięć, to mało; dwadzieścia.

Prokop. I ja o dwadzieścia.

Jan. I my, i my.

Antoś. Staremu można i o dziesięć.

Maksym. Nie chcę. I ja, jak wszyscy. Nie trafię — powiecie, że stary, i basta. Trafiłbym o dziesięć, tobyście powiedzieli: niewielka sztuka! Nie, nie chcę. A potem wziąłbym korale **Praksedy**, które pewno nie dla mnie.

Prakseda. Nie dla ciebie, wujaszku, nie!

Maksym. Odmierzcie kroki. Ja zaczynam.

Odmierzają. **Maksym** *staje i rzuca topór.*

Wszyscy. Chybil!

Stary *za stołem.* Chodź, bracie **Maksymie**, do nas za stół. Już to nie nasza robota.

Kilka głosów. Któż teraz?

Maksym. Niech **Prakseda** naznacza.

Antoś. Praksedol mnie na ostatku.

Prakseda woła. Fediol *Ten rzuca.*

Kilku. Chybił!

Prakseda. Czarny! *Ten rzuca.*

Inni. Chybił!

Kilku. To za daleko! My nie chcemy.

Prokop. Puszczajcież mnie. Praksedol wołaj.

Prakseda. Strzeleci! zausznik ¹⁾ mandataryusza!

Prokop występuje. Ach! to wy, Prokopie? *Wszyscy śmieją się, Prokop rzuca topór.*

Jeden z młodych. Zadrasnął gałąź, ale nie odciął. Szkoda!

Prakseda. Szkoda cwancygiera. Może go pan mandataryusz dał za jakie porządne kłamstwo.

Antoś. Milcz, Praksedol!

Prokop. I ja mówię: milcz! Teraz się śmiesz, wkrólce możesz płakać.

Antoś. Tylko jej nie groź. Ona moja; a ja, ty wiesz o tem, nie zaraz się zleknię. — No, Praksedol!

Prakseda. Antoś!

Pokazuje mu z umizgiem korale.

Prokop. Czekaajcie! A jeśli i on nie odetnie! Mój topór drasnął gałąź.

Wszyscy. Starzy rozsądzą.

Prakseda *tupa nogą.* Obejdzie się. — Któż wam powiedział, że nie odetnie?

Antoś. Na bok! *rzuca topór.* Niektórzy biegną i przynoszą gałąź.

Młody. Patrzcie — jak brzytwą odciął.

Prakseda rzuca mu się na szyję. Antoś oddaje jej

¹⁾ Powiernik.

korale. Ona wydobywa cwancygiera, pokazuje go strzelcowi, który przy śmiechu innych odwraca się.

Antoś. Gosposiul za te wszystkie krajcary piwał Pijcie, chłopcy! Kto wie, co jutro będzie? Dzisiaj nasze, a jutro może być cesarskie. *Pije, potem porywa Praksedę. Fediul gra! tańcuje.*

Młodzi niespokojni zatrzymują go. Przestań, Antosiul powiedz — ty coś wiesz.

Antoś. Pewnie, że wiem. Posłuchajcie. Byłem w Jaworowie. Tam spotkałem znajomych panów, którzy jadą do Burkutu¹⁾. Przeszłego lata służyłem im²⁾. Dobrzy to panowie! Ja ich lubiłem, i oni mnie lubili. Chodzili ze mną na wyścigi na Czarną Górę, oni na koniach, a ja piechotą. Niejednego cwancygiera dali mi za to, że m spuszczal jodłę z góry, rzucał za nią topór, doganiał ją i, uchwyciwszy za toporzysko, zatrzymywał na miejscu. Wszak i wy to umiecie.

Młodzi. No, to nie każdy potrafi.

¹⁾ Woda mineralna, podobna do kaukaskiego Narzanu, mająca tylko cokolwiek więcej siarki, nazywa się Burkut. Miejsce to leży o dwie lub trzy godziny drogi od węgierskiej granicy, przechodzącej tam przez górę Czepczyn (Przyp. Aut.).

²⁾ Ostatnie miasteczko pod górami jest Kosów. Stamtąd dwa dni drogi, konno, do Burkutu. Między Kosowem a Burkutom leżą trzy wioski góralskie po Czeremoszu: Jaworów, Krzyworównia i ostatnia wieś Żabie, gdzie pomieściłem scenę mego dramatu. Wielkie to i malownicze osady. Huculi ze wszystkich trzech wiosek zbierają się zwykle w Jaworowie i tam oczekują przejeżdżających. Najmują się oni z końmi do przewozu i zostają potem na usługach panów, za trzy lub cztery cwancygiery (Przyp. Aut.).

Prokop. Ale cóż ci oni powiedzieli?

Antoś. Oho! ciekawy jesteś? Wasze żniwo się zbliża. Tyś strzelec, ale ty nie wyciągasz lisa z nory, nie ścigasz sarny po jarach, nie mocujesz się z niedźwiedziem na połoninach; ty, bratku, łowisz Hucula i oddajesz go Niemcom. Idź precz! Co ja im powiem, to tobie na ucho powie mandataryusz.

Prokop. Może już i powiedział.

Jeden z młodych. Antosiu! zmiłuj się, co oni ci powiedzieli?

Drugi młody. Mów, dla Boga! bo mi się zdaje, że już niemiecka ręka łaskocze mię po szyi.

Antoś. Ot co powiedzieli. Pan Jan Melbachowski, jak mię obaczył, rzekł: — »A co? Antosiu? bieda niedaleko. U nas już biorą rekrutów«.

Młodzi. Rekrutów?

Kobiety. Rekrutów!

Dziewki. Rekrutów! — Ach! mój Boże!

Antoś. »Mandaty¹⁾ już i do nas posłane« — mówił panu Janowi krajshauptman²⁾ w Kołomyi. — »Strzeż się, Antosiu! Szkodaby ciebie« — rzekła pani Melbachowska. Ja odpowiedziałem: — Wola Boska, wola cesarska, wielmożna pan! Ale ja się nie boję; mnie prawo broni: jam jeden u matki.

Prokop *na stronie.* Niewiele ci to pomoże.

Pierwszy młody. Szczęśliwyś, Antosiu! A ja nie jedynak.

Drugi młody. Dyabeł tam będzie jedynakiem,

¹⁾ Rozkazy piśmienne.

²⁾ Naczelnik starostwa (= powiatu), dawny urząd w Galicyi.

kiedy potrzeba. U mnie braci i sióstr, jak jagniąt w oborze.

Inni. Żle! źle!

Maksym *odprowadza ich na przód sceny.* Tyś nie jeden u matki, a ty nie jeden u ojca.

Kilku. Oj! nie! Maksymku!

Maksym. I cóż stąd? A patrzcie-no, chłopcy, co to tu wokoło.

Kilku. A cóż ma być? Góry.

Maksym. A w górach puszcze, w których noga żadnego Niemca nie była; a w górach skały i urwiska, że możesz leżeć pod kamieniem, i koło ciebie stu Niemców przejedzie, a żaden cię nie obaczy; a w górach jodły, jedna na drugiej od pięciudzięsiąt lat zwalone, gdzie was nawet gończy pies nie znajdzie, nie dopieroż strażnik tabaczny. A co, głupie głowy? wielka wam turbacya? ¹⁾...

Młody. Dziękujemy, Maksymie, za dobre słowo.

Inni. Chłopcy! nie traćmy czasu. Bywajcie zdrowi, ojcowie! bywajcie zdrowe, matki! bywajcie zdrowe, dziewczęta! *Wychodzą.*

Starzec. Pora i nam do domu. Dziękujemy za piwo, Antosiu! *Wstają i rozchodzą się.*

Antoś *pokazując na Prokopa.* Jemu podziękujcie, ojcowie! to jego cwancygier. Praksedo! idź ty do domu, ja pójdę do matki. *Wychodzą.*

Dziewki *wziąwszy się za ręce, śpiewając odchodzą.*

Gdzieś daleko ich pogonią
Z łańcuchem na szyi,

¹⁾ Kłopot.

Już im więcej nie zadzwonią
Dzwony Kołomyi.

*Pieśń coraz dalej ginie. Wszyscy się rozeszli. Zostaje
tylko Prokop, stojący na stronie w zamgleniu.*

Prokop po chwili. Rób, co chcesz, nic nie może. Wychowaj razem psa z wilkiem; jak poczują siły, pogryzą się. Tylu tu jest chłopców żwawych, młodych, którzy mnie, starszego, uważają; gdy między nich wejdę, pokłonią się i poczęstują. Z nimi to mnie dobrze, mogę pogadać i poweselić się. Ten przekłety młokos, jak tylko przyjdzie, podniesie głowę, nos zadrze i z góry na mnie popatrzy, zaraz mi się tak robi, jakgdyby nam dwom na świecie Bożym było ciasno. — I dyabli go wiedzą, za co go wszyscy tak uważają? Gdzie się pokaże, każdy zaraz na niego obraca oczy. Niechże dziewczki — no, nie dziw: dwadzieścia trzy lat, rumiane lice, czarny wąsik, bujne kędziory! Ale czemuż i starzy słuchają, kiedy mówi? po chwili — Rekruty! hm! — Gdybyto ostrzydz go, jak barana, odjąć mu ten przekłety topór, gdyby to wetknąć mu w rękę karabin i oblepić ciasnym mundurem, żeby wyglądał, jak pobielany ¹⁾ Niemiec! hej! toby dobrze było, aźby mi lżej się zrobiło na sercu. Zastanawia się. Ale cóż? trudno, trudno! Nie da się i dziesięciu; a przytem onże jeden u małki. — Ale otóż i pan mandataryusz. On na to niechaj znajdzie radę. Oho? musi coś wiedzieć, bo idzie pomaleńku i gębą rucha. On, jak wół, kiedy się czem dobrem napasie, spokojnie leży i przeżuwa — tyłkoby popijał.

¹⁾ Wojsko austriackie nosiło wówczas białe mundury.

Mandataryusz *wchodzi z wolna*. A co, Prokopie?

Prokop. Nie wiem, wielmożny panie!

Mandataryusz. A ja wiem; to jest: mandat przy-szedł z cyrkułu, albowiem kazano brać rekrutów.

Prokop. Rekrutów? — a skąd ich wziąć, wielmożny panie?

Mandataryusz. Jakto, skąd ich, wziąć? — albo wiem, że u nas mało chłopaków, to jest, zdatnych nosić karabin? — każ mi wynieść piwa.

Prokop *stuka do karczmy i podaje kufel z piwem*. Prawda, wielmożny panie! — ale gdzież oni? Ani jednego nie znajdziesz.

Mandataryusz *popijając*. Od czegoż wy, to jest, strzelcy rządowi? albowiem inni Huculi robią pańszczyznę, to jest dwanaście dni na rok, czepiają się po górach, walą jodły i robią tratwy. Wam nie potrzeba spławiać się do Kut, byleście spełniali moje rozkazy, to jest mandata. Od tego ja mandataryusz, żebym wam kazał brać rekrutów; od tego wy strzelcy, żebyście ich zwietrzyli i wzięli. A co?

Prokop. Wszystko to prawda, wielmożny panie, kiedy chłopcy nic nie wiedzą, kiedy można na nich napaść, jak na lisa w jamie. Ale kiedy się rozbiegną po górach, pozalążą w nory, jak krety, pochowają się w szpary skał, jak jaszczurki, poprzylepiają się do jodeł, jak dziecięcioly, jaki dyabeł ich wtenczas znajdzie?

Mandataryusz. Skądże wiedzą, to jest, kto im powiedział?

Prokop. Któż zawsze wszystko wie, jeśli nie panowie, co do Burkutu jadą? Któż zawsze z panami, jeśli nie Antos Rewizorczyk? Ot i dziś przy-

szedł z Jaworowa i dawaj trąbić tu, gdzie wszyscy byli, i pili, i śpiewali, że mandat już posłany.

Mandataryusz. To jest do mnie?

Prokop. Tego on nie powiedział, wielmożny panie!

Mandataryusz. A widzisz go, hultaj! — albowiem do kogoż miał przyjść mandat z cyrkułu? he?

Prokop. Zapewne, że... Ale on ani wspomniał wielmożnego pana. Ot tak, jakgdyby tu wielmożnego pana nie było, rozpoviedział wszystkim. Moje chłopcy, widząc, że nie przelewki, dalej w nogi w górę co do jednego.

Mandataryusz. To złe, to paskudnie. — Każ-że mi dać piwa.

Prokop na stronie. Bodaj cię dyabli wzięli! — Wszystko to ja zapłacę! *głośno.* Wielmożny panie!

Mandataryusz wypróżniwszy kufel. Albowiem co?

Prokop. Ponieważ on sam rozegnał sposobnych chłopaków, to niech sam idzie. U nas tu nigdy nie będzie posłuszeństwa, ani uszanowania dla starszych, póki on tu będzie. Zdarza się, że się ludzie poswarzą, poczubią tak, iżby z tego mogła się śliczna sprawka wytoczyć przed sąd wielmożnego pana. Nic z tego. Gdzie kłótnia, tam i on; przyjdzie, słowo powie i — zgoda. A czyż to jego rzecz kłótnie godzić? czy to do niego należy sądzić, czy do mandataryusza?

Mandataryusz. Albowiem naturalnie do mandataryusza.

Prokop. Kiedy tu, na przykład, ot jak dziś w niedzielę, lub we święto, siedzą przed karczmą starzy, młodzi, kobiety i dziewczki, patrzaj, niech się tylko

pokaże, wszyscy na niego wytrzeszczają oczy, każdy się mu pokłoni, każdy powita. Czyż to jemu tu powinni się wszyscy kłaniać?

Mandataryusz *czupurząc się*. Naturalnie, że nie jemu.

Prokop. Kiedy przyjdzie gdzie którego posłać: ot na przykład, kiedy jaki pan z cyrkułu jedzie do Burkutu i trzeba mu dać ludzi do posługi, chodzisz, wolasz, każesz, mówisz, że pan mandataryusz kazał — nie słuchają, niema, daśby¹⁾. Niechże jedzie jaki pan, jego znajomy, a on tylko piśnie, oho! dwudziestu Huculów z końmi jawi się prędzej, niż *Ojcie nasz* zmówisz.

Mandataryusz. Hm! to on taki? — każde mi dać piwa.

Prokop. Dziś, na przykład, gadał, że on jedynak, że on sobie żartuje z mandatu i z mandataryusza.

Mandataryusz. Niechże z mandatu, ale z mandataryusza? O! hultaj!

Prokop. Jego koniecznie, wielmożny panie, potrzeba oddać w rekruty.

Mandataryusz. To jest, masz rację²⁾, oddać, koniecznie oddać.

Prokop. Cóż stąd, że on jeden u matki? Można napisać, że hultaj, że rozbijanie rekrutów, że z Węgier kontrabandę przekrada, że strażników bije.

Mandataryusz. Że z mandatów się naśmiewa.

Prokop. Że nie słucha swojej zwierzchności,

¹⁾ Daśby, znaczy niema, ale później даст. — Wyrazu tego niema w Galicyi, niema na Wołyniu; zjawia się on znowu w półtawskiej i charkowskiej gubernii (Przyp. Aut.).

²⁾ słuszność.

Mandataryusz. Że jego wszyscy słuchają, a nie mandataryusza.

Prokop. Może wielmożny pan każe sobie dać jeszcze piwa?

Mandataryusz. To jest, dawaj, a jego bierz. Już ja sam napiszę relację¹⁾.

Prokop. Dobrze, wielmożny panie! — Trzebaż mi się gracko zwijać, żeby go schwytać. To istny niedźwiedź; żeby czasem jego pazury nie ugrzęzły w mojej głowie.

Mandataryusz. Idź, postępuj *caute et prudenter*²⁾; a ja tymczasem pójdę i trochę się położę, albowiem interesa rządowe zmęczyły mię.

Rozchodzą się.

SCENA II.

Izba w chacie Antosia.

Marta stojąc we drzwiach. Ej synu! ej Antosiu! moje ty oko w głowie!

Antoś wchodzi. Co, dobra matka?

Marta całuje go. Jakżem ja dawno ciebie nie widziała!

Antoś. Pięć dni, matko! Czy to tak wiele?

Marta. Dla matki pięć godzin za wiele, a ty tego nie pojmujesz. *Uderza go z lekka po twarzy.* O niewdzięczniku!

Antoś. Matko! ja was kocham więcej, niż siebie, więcej, niż życie, więcej, niż Praksedę.

¹⁾ Doniesienie, zdanie sprawy z' czegoś.

²⁾ Przezornie i roztropnie (łac.).

Marta. Mój ty gołąbku! moje ty złoto! ja wierzę twojemu sercu; i ty wiesz, że bez ciebie dusznoby mi było na świecie. — A jaka głowa gorąca! Siądź, mój kotku! Zmęczyłeś się.

Antoś. Biegłem prędko, matko! Pięć dni was nie widziałem.

Marta. A mówiłeś, że to niewiele. Widzisz, kłamcol

Antoś. Biegłem do was i do Praksedy.

Marta *zdejmuje z niego płaszcz*. Dobra dziewczyna! Niech was Bog błogosławi! Dajże i te pistolety, one cię gniotą.

Wyjmuje pistolety i kładzie z daleka na ławie.

Antoś. Nie, matko! broń nie ciąży góralowi, a topór zrósł się z jego ręką.

Marta *odsuwa topór po ławie i siada*. Teraz ci niepotrzebny. Siądź tu, synku! połóż głowę na moich kolanach — ot tak! *Antoś siada na niskiej ławeczce, tyłem do drzwi środkowych, kładzie głowę na kolanach matki, przymyka oczy i po chwili zasypia*. Widzisz, hultaju! pięć dni biegales po górach, a gdyś powrócił, pierwiej pobiegłeś do karczmy, niż do domu, bo ci pilniej było widzieć Praksedę, niż mnie. A ja tak dawno głowy twojej nie czesałam, tak dawno nie całowałam twoich kruczych włosów! *Bawi się jego kędziorami — w tymże czasie Prokop i inni strzelcy pokazują się we drzwiach otwartych i kryją się w cichości, oczekując chwili*. Moja ty miła główko! jabym oczy wydarła temu, kto by cię pozbawił jednego włoska. Ale wara komukolwiek ściągnąć do tych kędziorów. Dałam memu dziecku silną rękę i śmiałe serce. Wiedzą ludzie, jaka matka

cię urodziła. Kto tylko spojrzy ci w oczy, kto posłyszysz twój głos, każdy mówi: to orzeł karpacki. *Przystuchuje się.* Ale cóż to? — oddech jego głośniejszy — milczy — zasnęło biedne dzieciątko moje. Daj ci, Boże, zdrowie, moja ty pociecho!

Nachyla twarz ku jego głowie i, objąwszy ją z lekka rękami, milczy. W tejże chwili strzelcy wchodzą cicho, opadają Antosia i krępują go sznurami. Jeden z nich rzuca się na jego broń i jej pilnuje.

Marta zrywa się z krzykiem. O wy rozbójniki!

Antoś potrząsa się, oni odskakują i znowu go chwytają. Czego chcecie ode mnie?

Prokop. Pójdziesz, bratku, nosić karabin — nic więcej.

Marta. Co? karabin? memu dziecku karabin? nie doczekacie tego! Jakiem prawem? kiedy on u mnie jeden, jak jedno słońce na niebie! Oj! ty psie gończy! tyś zawsze na niego naszczekiwał.

Prokop. Teraz już nie będę, matko! Już nie-dźwiedź związany, jak baran. Nie turbujcie¹⁾ się; będzie z niego dobry żołnierz.

Antoś. Głupcze! zawcześnie się radujesz. Nie bój się, matko! Prawo wyraźne i wszystkim wiadome; oni go nie skręca i nie polkną. Jam jednak — puszczajcie mnie.

Szarpie się, ale napróżno.

Prokop. Oho! jakiś ty rozumny, jak mandatarz! A tego nie wiesz, że ciebie opisali, jak hul-taja: żeś rozpędził wszystkich rekrutów, że przekradasz tytuł...

¹⁾ Kłopotcie się.

Antoś. Rozwiąż mi ręce — i wtenczas mi to powiedz.

Prokop. Nie głupim.

Antoś. Matko! jam cię tak kochał, a tyś mi odebrała broń i topór, tyś mię ukołysała na kolanach i śpiącego w ręce ich oddała!

Marta. Ach! ja nieszczęśliwa!

Prokop. Dalej z nim! — prowadźcie go!

Marta *rzuca się na szyję syna*. Z moich rąk nikt go nie weźmie! Czyście wy zapomnieli, że dla mnie bez niego niema dnia, niema nieba? Odważcie się odedrzeć go ode mnie, jeśli chcecie, aby moje pazury w oczach waszych utonęły! Ja was przeklnę! — puszczajcie go!

Prokop. Puszczaj go ty sama, głupia starucho! pożegnaj się z nim! już on nie twój.

Marta. On nie mój? Chyba ta ręka, którą mnie szarpiesz, nie twoja; chyba ten psi język, którym skłamałeś, także nie twój. Trzymaj się mnie, synu, trzymaj się, moje dziecko, jakieś się trzymał wówczas, nimesz przyszedł na świat. Niech nas razem włoką. Są starsi od tych hullajów, co może zrozumieją głos matki. To są psy, tam to może ludzie i uczują po ludzku.

Prokop. Ej! dosyć tego. Precz, stara czarownico! *Odrywa jej ręce, gdy to nic nie pomaga, chwytła za włosy i odciąga. Marta pada, chce się jeszcze podnieść, on ją nogą potrąca i woła*. Nuże, mazgaje! czego czekacie? prowadźcie go!

Antoś *z rozpaczą*. Ha! — No, prowadźcie mnie! Ty, matko, bądź zdrowa, czekaj na mnie. *Do Prokopa*: Ale i ty mnie czekaj — do ciebie to pewno wrócę.

Prokop. Dobrze, dobrze — obaczymy.

Wychodzi za nimi.

Marta *po chwili podnosi się na kolana*. Co się tu stało? Jak mi ciemno w oczach! *ogłąda się w około*. Och! wzięli go! Cóż począć? Pobiedz za nimi, wydrzeć go z ich rąk? — o! daremnie! Pójść do starszych, zawołać: oddajcie mi syna! krzyknąć tak, aby ten krzyk matki Bóg w niebie usłyszał i serca ich zmięczył — i to daremnie! — oni wszyscy z kamienia. Przekłęte, oplakane życie! Niema nikogo, coby się nad starą kobietą zmiłował! coby ukarał matkę, która sama swojego jedynaka w ręce zbójców oddała! Zlitujcie się! zabijcie mniel *pada twarzą do ziemi*.

Prakseda *wbiega*. Matko! matko! co ja słyszę? gdzie on?

Marta *podnosi głowę*. Ach! gdzie on? — Teraz dopiero przychodzisz? Wtenczas trzeba było przyjść, kiedy go brali, i nie dać; trzeba było zębami przegryźć jego sznury, podać mu w ręce topór, żeby im łby rozplątał. Wzięli go, powiadam ci, związali, w rekruty poprowadzili.

Prakseda. O ja nieszczęśliwa!

Marta *powstaje*. A tak, teraz nieszczęśliwa! A czemuś tam koło karczmy została, czemuś myślała o tańcach? Chciałaś, żeby cię pochwalili, wtenczas, kiedy z rąk matki brali syna, kiedy tobie wydzielali kochanka i męża? Znajdziesz ty drugiego takiego, powiedz, ha? Choć nie takiego, ty może znajdziesz; dla matki tylko on był jeden jedyny.

Prakseda *ocierając łzy*. Cicho, matko! nie płacz! Strata nasza jest równa, ale nierówne siły. Słuchaj

mię: ja ci go przyprowadzę, ja ci go oddam. Bóg mię skarze, jeśli wplotę choć jedną wstążeczkę we włosy, jeśli choć jedna paciorka będzie na mojej szyi, jeśli skosztuję choćby ziarnko soli póty, póki ci go, matko, nie wrócę, nie oddam.

Marta pieści ją. Praksedo! duszko! rybko moja! moja ty śliczna czarnołbiewa! O, idź, idź, odbierz go od nich! Albo nie — słuchaj! zakradnij się tylko cicho i rozwiąż jego sznury, a obaczysz, jak on ich głowy o skały roztrzaska. *Po chwili.* O Boże mój! mnie się w głowie mieszał Wszystko to na-próżno. Chodź tu, moja córko! Ty teraz moje jedyne dziecko.

Prakseda płacząc. Matko! jakże to było?

Marta. Ot patrzaj, jak to było! On tu siedział, a ja tak usiadłam i położyłam jego głowę na kolanach; i pierwszej jeszcze ja sama, ja, odebrałam mu pistolety, odsunęłam tam jego topór. On biedak był zmęczony; dobrze mu było na kolanach matki, i zasnął; a oni tymczasem weszli cicho, jak dzikie koty, i orla mojego schwycili.

Zakrywa się.

Maksym wchodzi. Oj matko! matko! ciężka twoja bieda.

Marta. Ach! to wy, kumie? Wzięli go?

Maksym. Wiem, matko, wiem! Widziałem, jak im było pilno. Czem prędzej okuli go w kajdany i na tratwie odprawili do Kut¹⁾.

Marta. Co? w kajdany mego jedynaka? To nieprawda! Puszczajcie mnie! ja pójdę sama!

¹⁾ Kuty — miasteczko nad Czeremoszem.

Maksym. Bóg z tobą! On już w Krzyworówni¹⁾. Dziś w wieczór będzie w Kosowie²⁾. Czeremosz pełny, szumi, pieni się i poniosł bystro twego syna. Nie tobie, starucho, zbiedz z jego falami. Uspokój się! I rzeki nie uprosisz, żeby się zatrzymała, i ludzi nie umodlisz, żeby rozkuli jego kajdany.

Prakseda. Matko! wujciu! posłuchajcie mnie. Ja młoda i niedoświadczona; oprócz wierzchołków gór naszych nic jeszcze nie widziałam na świecie. Ale ja go kocham. Matko! dla mnie i dla ciebie bez niego niema życia na ziemi, dlatego moja rada będzie dobra. Czego zabraknie głowie, to doda serce; bo, choć tu mało, ale tu pełno; jest miłość, jest śmiałość, jest potrzeba mieć go, lub umrzeć. Matko! jam ci się zakłęta, że ci go oddam, i tak będzie; tylko mnie puszczajcie i nie mówcie nikomu, gdzie poszła. Powiedźcie, żem pobiegła w góry, rzuciła się ze skały i głowę sobie rozbiła o kamienie. Ludzie uwierzą, bo wiedzą, że ja szalona, i że on wart takiej miłości. A tymczasem pójde. Choć ziemia ich szeroka, ale nogi moje zdrowe i oko bystre. Ja go znajdę, i ty, matko, będziesz go miała.

Marta. Praksedo! moje ty zdrowie! o! biegnij prędko, żeby go gdzie daleko nie zapędzili.

Maksym. Słuchaj, Praksedo! Serce twoje dobre, ale rozum twój krótki. Czy ty wiesz, ile u nich ziemi? czy wiesz, dokąd go posła służyć? czy wiesz, jakim językiem tam mówić będą, gdzie on będzie

¹⁾ Wieś nad Czarnym Czeremoszem poniżej Żabiego.

²⁾ Wieś na północo-wschód od Żabiego, dziś miejscowość kuracyjna.

tęsknił za matką i za tobą? wieszże ty, dziewczyno, ile u nich ludzi nosi karabin i jak jednego między stem tysięcy wyszukać? — Oj! głupia głowol pójdziesz i przepadniesz i nogi schodzisz i oczy wypatrzysz i wszystko darmo. Ale chęć twoja dobra i myśl rozumna. Pójdziesz, dziewczyno, ale pójdziesz ze mną. Jam ich kraje wszere i wzdłuż przewędrował i wiem, jak w armii dopytać się żołnierza.

Marta. Kumie! o, Bóg wam zapłaci! Mnie tak siły opadły, że wam i dobrym słowem podziękować nie mogę. *Siada i płacze.*

Prakseda. Wujciu! ty doprawdy chcesz iść ze mną?

Maksym. Oho! czym to ja cię kiedy oszukał?

Prakseda *rzuca mu się na szyję.* Wujciu! mój złoty! mój najmilszy! o! prędeż, prędeż chodźmy!

Maksym. Chodźmy, kochana dziewczko! Bywaj zdrowa, matko! bądź cierpliwa i ufaj w Bogu.

Prakseda *pada jej do nóg.* Matko, błogostaw!

Marta ją żegna, zasłona spada.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Izba w karczmie pod Lwowem. Wchodzi **Herszko**, ze świeczką w rękę, za nim **Maksym** i **Prakseda**, przebrani, jak miejscowi chłopci; oboje z tłumoczkami na plecach; u Maksyma za pasem topór.

Herszko. Nu, dlaczego nie można przenocować? U mnie tu różni nocują, u mnie wszyscy panowie nocują, jak jadą do Lwowa.

Maksym. Dziękujemy, panie arendarzu! Nam niewielki kącik na ławie, aby gdzie głowie trochę odpocząć.

Herszko. Ot tam sobie przysiadźcie! Chyba jak przyjedzie jaki pan, to pójdziecie do drugiej izby. Trzy dni temu pan Skarbek¹⁾ u mnie popasał, i mówił, że nazad będzie nocował. On pojechał na imieniny do pana Aleksandra Fredra²⁾. Ty słyszał co o panu Fredro?

Maksym. Nic, panie arendarzu, nic nie słyszałem.

Herszko. Nu, jakto? Za sto lat wszyscy będą znali pana Aleksandra Fredra, a u was o nim teraz nie gadają? Nu, skądże ty?

Maksym. Ja z Berezówki³⁾, cieśla, a to moja córka. Idziemy za robotą.

Herszko. I u nas może się znaleźć robotą. Czego daleko szukać roboty? Kto chce robić, zawsze znajdzie robotę; kto chce psa uderzyć, zawsze kija znajdzie.

Maksym. Ta, my to, panie arendarzu, nie lubimy próżnować.

Herszko. Kto, nie lubi próżnować, tego bankocetle⁴⁾ lubią, i trzymają się, jak koszula ciała.

Maksym. Pan Bóg dał, panie arendarzu! głodu

¹⁾ Fryderyk Skarbek, powieściopisarz i uczonej polski (1792 † 1866).

²⁾ Aleksander Fredro, słynny komedyopisarz polski (1793 † 1876).

³⁾ Berezówka — kilka jest wsi tego miana na Litwie, na Podolu, na Rusi.

⁴⁾ Pieniądze papierowe.

się nie boimy. Ot, dajcie no mnie dobry kieliszek wódki i zakąskę, a mojej dziewczce kawałek chleba i śmietany kaźcie przynieść. Gotować wieczerzę już późno.

Herszko. Jakże nie późno? — już dziewiąta godzina. *Nalewa mu wódkę.*

Maksym. A stoi tu u was komenda¹⁾, panie arendarzu?

Herszko. Jaktó nie stoi? Kradną tak, że wszystkie kury z jajkiem i z pierzem, ze wszystkim wezmą.

Maksym. U was tu batalion²⁾ z regimentu³⁾ księcia Lichtensztejna?

Herszko. Nu, tak. Major dobry człowiek; ale co kapitan i porucznik — niechaj ich dyabli biorą!

Prakseda. Ach! ojczel może on tu?

Herszko. A kto taki?

Maksym. Młody żołnierz — krewny.

Herszko. Może on tu, a może on nie tu. *Feldfebel* wchodzi. Ot tego pytajcie, on *feldfebel*, to musi wiedzieć, czego wam potrzeba.

Prakseda *cicho*. Ach! wujciu! mnie tak straszno! *Siada.*

*Feldfebel rumiany i otyły, z laską i karabinem; karabin stawia przy drzwiach. Reb Herschl wi-
gec? — habt acht — gib schnaps⁴⁾.*

Herszko. Ne, ne, zaraz.

¹⁾ Oddział wojska.

²⁾ Oddział piechoty z 800—1000 ludzi.

³⁾ Regiment — pułk.

⁴⁾ Panie Herschl co słyszał? — baczność! — daj wódkę
(w przekręconym żargonie żydowskim).

Feldfebel. Co za ludzie?

Herszko. At, robotnik z Berezówki; on tu nocuje.

Feldfebel *podchodzi marszem do Praksedy i szczy-
pie ją za policzki. A ta poziomka?*

Maksym *staje między nimi. Siądźcie tu, panie
feldfebel! to moja córka.*

Feldfebel. Saperment!¹⁾ jak krew z mlekiem!
Ładną masz córkę, kumiel

Maksym *ciszej. Nie brzydka, tylko nie trzeba
jej tego mówić!*

Feldfebel. Żeby od czystych słówek serce się
nie powalało — ist richtig²⁾.

Maksym. Panie arendarzu! dajno tu za tego
cwancygiera³⁾ dobrej wódeczki. My tu sobie z feld-
feblem pociągniemy i pogadamy. — I ja to kiedyś
byłem żołnierzem. Po Italii, po Węgrzech, po Ty-
rolu, wszędzie mię dyabeł nosił.

Feldfebel *podaje mu rękę. Kolega!*

Maksym *uderza. Kolega, panie bracie! — Teraz
toporem buduję chaty, a dawniej bagnetem nie-
jedną rozebrałem.*

Feldfebel *pokazuje laską na karabin. Więc i to
znajomy?*

Maksym. Przyjaciół, krewny. Bierze karabin
i stawia do nogi. Ano spróbuj, czy nie zapom-
niałem?

Feldfebel *wstaje. Hab acht! ins Gewehr!⁴⁾ itd.*

¹⁾ Do licha! (niem.).

²⁾ To prawda (niem.).

³⁾ Cwancygier — dawna moneta austriacka = 40—42
groszy polskich.

⁴⁾ Baczość! nasław broń! (niem.).

Skończywszy mustrę, ściska Maksyma. Nu, kolega! Saperment! siadaj, stary! — napijem się razem i pogadamy. Dawno ci dali abszyt?¹⁾

Maksym. Latek z pięć. — W ręce waszel — To regiment księcia Lichtensztejna?

Feldfebel. Batalion karabinierów.

Maksym. W swojej kompanii, panie feldfebel, znasz wszystkich żołnierzy?

Feldfebel. Saperment! jakieżby ja był feldfebel? Ja tu kapitan i porucznik. Jak moje pięć palców, tak znam każdego od nóg do głowy.

Maksym. Niema tu czasem w waszej kompanii?... ale w ręce waszel.

Feldfebel. Dziękuję — a kogo?

Maksym. Młodego żołnierza...

Feldfebel. U nas wszyscy młodzi. Porucznikowi, prawda, skończyło się wczoraj lat sześćdziesiąt, ale zresztą chłopcy, jak struny. Jak staną w linii, jest na co spojrzeć. — A jak się nazywa?

Prakseda do siebie. Ach! Boże mój!

Maksym. Antoni Rewizorczuk.

Feldfebel. Jest, jest.

Prakseda słabnie i skłania głowę na stół. Ach!

Feldfebel śmieje się. Pewnie krewny — o! musi być blizki krewny, saperment!

Maksym. Fel! Praksedo!

Prakseda. Nic już, nic, ojcze! — sama nie wiem, co się ze mną stało.

Feldfebel. Potz-tausend!²⁾ on będzie wasz zięć.

Maksym. O! byłby, byłby, panie kolego, gdyby

¹⁾ Uwolnienie (z wojska).

²⁾ Dali pan! daj go katul (niem.).

go byli w rekruty nie wzięli. A teraz — cóż robić? trzeba poczekać. — A dobrze się prowadzi?

Feldfelbel. Oho! to perła między wszystkimi. Chłopak czysty, równy, jak młoda brzoza. Co każesz, ledwie powiesz, już zrobione. Za tydzień lepiej umiał karabinem wywijać, niż ja! a to nie mała rzecz, saperment! Za jedno mi się tylko nie podoba.

Maksym. Nie daj, Boże, co złego! Czy nie pije?

Prakseda. Ach! ojczel nie grzechże nam?

Feldfelbel. Pfuj! nie. — Ale zawsze smutny; nigdy się nie zaśmieje, nigdzie nie wyjdzie z kwatery, tylko na służbę — ale na służbę pierwszy.

Prakseda. Biedny Antoś! — Ojczel zapytajcie: gdzie jego kwatery?¹⁾

Maksym. W ręce wasze, panie feldfelbel! Za dobre nowiny o moim przyszłym zięciu pozwólcie wam podziękować. — Panie arendarzu! dajcie mi tu tę flaszeczkę z karteczką. Co za nią?

Herszko. Jakto co za nią? — dwa cwancygiery. To rarytna²⁾ wódka. Ją zawsze panowie piją, jak u mnie popasają.

Maksym. Dobrze, dobrze — na. *Daje mu pieniądze.* Panie feldfelbel! weźcie to. Przyda się czasem poczęstować gości.

Feldfelbel. Chyba że od kolegi — inaczej... Saperment! *Chowa flaszkę.*

Maksym. Zbieraj się, Praksedo! *kładzie tłomo-czek na plecy.* Panie feldfelbel! nie mógłbyś nam pokazać jego kwatery?

¹⁾ Mieszkanie.

²⁾ Rzadka, wyborna.

Feldfebel. Z ochotą — ona niedaleko od mojej, i mnie po drodze. Ale jego teraz niema w domu.

Prakseda *przestraszona*. A gdzież on?

Feldfebel *śmieje się*. Widzisz, jak się przestraszyła, jakby go o pięćdziesiąt mil odkomenderowali. Bodaj to być młodym! *uderza się po brzuchu*. Mnie już się to nie zdarzy. Nie bój się, poziomko! on niedaleko. Tylko com rozwiódł wartę, i jego postawiłem przy magazynie za miastem.

Maksym. A magazyn ten daleko?

Feldfebel. Ej! nie — tam prosto ulicą, o kroków pięćset za miastem — wielki budynek na lewo. *Bierze karabin*.

Maksym. Chodźmy, chodźmy, Praksedo!

Herszko. Ne, jakto? to już nie będziecie nocować?

Maksym. Nie, panie arendarzu!

Herszko. Nu, jakże to będzie? Do mnie byliby panowie zajechali.

Maksym *daje mu pieniądze*. Na Żydzie!

Herszko. Także mi waszeć gadaj.

Feldfebel. Reb Herschl! gut Nacht¹⁾.

Wychodzi, Maksym i Prakseda za nim.

Herszko *zamyka za nim drzwi*. At! jaki mi wielki pan! tfy! *zdmuchuje świecę i wychodzi*.

SCENA II.

Wielki budynek w miejscu pustem. — Noc.

Antoś *wchodzi, przechadzając się na warcie — potem staje i opiera się na karabinie*. Ciemno! chło-

¹⁾ Panie Herschl! dobranoci! (niem.).

dno! Wiatr pociąga tak ostro i świeżo, jak tam na górach, których już może nigdy nie zobaczę. Gdzież one? — jużem i ślad ich stracił. Nie wiem nawet, jak daleko stąd do Czeremoszu, nad którego brzegami moja Praksesta siedzi zadumana, słucha, jak woda jego szumi, i na mnie czeka. O! nie czekaj, luba dziewczko! — ja wtenczas wrócę, gdy te fale, co mnie uniosły, wrócą nazad i pod górę popłyną. *Przechadza się. — Po chwili.* Tyle dni! tyle miesięcy! ani wieści od nich! — I któż mi ją miał przynieść? jak słowo pozdrowienia od matki, od kochanki mogło mię znaleźć? — Ich ziemia taka szeroka! ich wojska tak wiele! a ja jeden wśród tylu tysięcy. — Darma o tem myśleć. Trzeba służyć do końca i wrócić wtenczas, gdy matka będzie w grobie, a Praksesta żoną — nie moją. *Potrząsa karabinem.* Ciężkiś, przyjacielu! *Po chwili.* Ziemia tu piękna i bogata; tu niwy, takie zielone; tu na drzewach wiszą rumiane jabłka, czernieją drobne śliwki; tu na szerokich polach stoi pszenica, jak armia, i kołysze się falami wysokie żyto; a przecież mi tu tęskno, ciasno, duszno! — Bywało, gdym stał sam jeden na wierzchołku Czarnej góry, gdym widział na dziesięć mil w około góry mniejsze, jak ogromne sterty zielonego siana, gdy pod nogami moimi ciągnęły chmury, a nad głową nie było nikogo, prócz orła, który szumiał skrzydłami — o! jak mi było świeżo, jak wesoło, jak swobodnie! — Więc już nigdy nie obaczę moich jodeł? nie orzeźwię swej piersi wodą Czeremoszu? nie odetchnę powietrzem na połoninach? — Nie, to być nie może — ja tu nie umrę, ja was ujrzę koniecznie,

prędko. — *Miarkuj się.* Tak, odrzucisz broń, uciekniesz ze stanowiska — o dwie mile złapią cię i rozstrzelają — i dusza twoja przeleci nad tą ziemią, gdzie się urodził, ale oczy twoje nigdy jej nie obaczą. Nie, bracie! nie tobie pomścić się za krzywdę matki, nie tobie otrzeć łzy z oczu Praksedy; zostaw to Bogu, a sam dźwigaj karabin, chodź naprzód i napowrót tam, gdzie cię postawią, i pilnuj pańskiego dobra, póki cię nie zmienią. Cicho! ktoś się przybliża. *Woła głośno.* Kto idzie?

Maksym podchodzi z wolna, zmieniwszy głos. Swój, panie żołnierzu! Dobry wieczór. Prędkiej zmiany życzymy.

Antoś. Dziękuję. — Dlaczego tu idziecie po nocy? Tędy żadnej drogi niema.

Maksym. Mówili, że koło magazynów droga do Berezówki.

Antoś. Nieprawdę wam powiedzieli. Idźcie sobie z Bogiem napowrót. Tu nie wolno chodzić o tej porze.

Maksym. Ta, nie tacy, jak my, panie żołnierzu, robią to, czego nie wolno; jedni niechcący, jak ja teraz, a drudzy umyślnie. Wam nie straszno czuwać samemu na takim pustem miejscu?

Antoś. Cóżbym to ja był za żołnierz, żeby mi było straszno.

Maksym. Zapewne przystaliście do żołnierzków z ochoty. Niemcy umieją jej dodawać. Ja to sam wiem dobrze.

Antoś. Czyś służył?

Maksym. Oj! służyłem, i z tym przyjacielem pokazuje karabin znam się doskonale.

Antoś. Jeśli tak, to wiesz, że na stanowisku gawęda nie pozwala się.

Maksym. Na odwachu, prawda; ale na oddalonym stanowisku i nie w czasie wojny, czemuż nie pogadać, jeśli podejdzie dobry człowiek, bywalec, dawny wojak, co widział góry i doliny, pola i lasy, i nad morzem bywał. Trzy godziny przestać same-mu, daj go katu! ja wiem, jak to długo.

Antoś *opierając się na karabinie.* Jakieżś to góry widział?

Maksym. Eh! jakich nie widziałem, zapytaj. Kat je tam spamięta, jak się nazywają. Jedne tylko zostały mi w pamięci.

Antoś. Jakież to?

Maksym. Co ci o nich mówić, panie żołnierzu, kiedyś nigdy w górach nie bywał.

Antoś. Jam nie bywał? Ach?

Maksym. Co to ci?

Antoś. Nic bracie! Pokazałeś głodnemu kawałek chleba i nie chcesz się z nim podzielić. Dawnoś byłeś w górach?

Maksym. O! już dawno. Pięknież tam i wesoło!

Antoś. Zdrowo i swobodnie.

Maksym. Kiedy stoisz w dolinie, gdzie rzeka szumi i skacze po kamieniach, zdaje ci się, że ich tylko tyle, ile lasu, którym obrosły ich boki. Ale wyjdźno cokolwiek wyżej, aż tu z jednej góry wyrasta druga; wydrapaj się jeszcze dalej, aż tam trzecia i czwarta podnosi jedna na drugiej ogromne plecy; a wleź na sam wierzchołek Krętej¹⁾, i po-patrz wtenczas przed siebie na Czarną...

¹⁾ Wierzchołek w Karpatach wschodnich.

Antoś rzuca karabin i chwyla go obiema rękami. Co? co? kto ty jesteś? twój głos mi znajomy.

Maksym. Ja cieśla z Berezówki — oto i mój instrument. *Pokazuje mu topór.*

Antoś. O! znam się z nim; zręczny — prawie taki, jak mój był niegdyś. Na! weź go sobie; idź z Bogiem i nie kuś mnie. Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, gdyby mnie ten biały mundur nie cisnął i ten karabin koło mnie nie błyskał, zdawałoby mi się, że niedaleko od rodziny, tak znajomym głosem przemówiłeś do mego serca. *Rzuca mu topór pod nogi.* Idź sobie, stary, nie rozdrażniaj mnie, moje piersi i tak poranione. *Zakrywa sobie oczy, tymczasem Prakseda podchodzi i staje przed nim.*

Maksym właściwym sobie głosem. Dlaczegoż myślisz, że sam tylko pamiętasz o rodzinie, a ona o tobie zapomniiała? Czyż to w górach niema dobrych ludzi, którzyby ciebie pożalowali? Antosiul!

Prakseda. Antosiul!

Antoś odkrywa twarz, w zadumaniu patrzy długo na nich i pada przy nogach Praksedy.

Prakseda. Wstań, mój jedyny! Bez ciebie dla mnie nie było dnia i życia. Tylem świata zbiegała, nimem cię znalazła. O! teraz jakże mi lekko i słodko!

Maksym. Antosiul! wstań, przyjdą cię zmienić.

Antoś. Nie budźcie mnie.

Prakseda. To nie sen, Antosiul! ja tu, przy tobie. — Matka cię pozdrawia.

Antoś zrywa się. Matka! — więc żyje? pozdra-

wia mię? Przypatruje się *Praksedzie*. Ach! to ty, ty moja czarnobrewa, moja *Prakseda*? Chodź! połóż tu rękę! — O! co te piersi dla ciebie czują! — Ale i ty mnie kochasz, nieprawdaż? — inaczej przysłałbyś tu, tak daleko? Bóg ci to zapłaci — jam za ubogi. A ty? stary! *Ciągnie go do siebie*. O! tyś Maksym — teraz już widzę — a wprzódys swoim wierzyć nie chciałem. I wy, Maksymie, w waszych latach na takąście się drogę puścili. — O! ciężki dług na mnie wkładacie.

Maksym. Matka na ciebie czeka.

Antoś. I nie próżno. Śmierć tylko mogłaby mię zatrzymać. Ona mnie nie minie, ale jeszcze nie dziś i nie tu, dzięki Bogu.

Prakseda. O czem bo ty myślisz, Antosiu?

Antoś. Nie oszukuj się, *Praksedo*! ja wiem, co mię czeka. Uciekam z tego miejsca, gdzie mię postawiła woła cesarska; odrzucam broń, która mi pod przysięgą dana; popełniam zbrodnię, taką zbrodnię, *Praksedo*, za którą prawo każe mię zabić i każe sprawiedliwie. Wiem to, a przecież zostać tu nie mogę. Tam mię woła matka, tam woła zemsta, tam szum rodzinnych lasów i świst wiatru, który na wierzchołkach naszych wieje. — Chodźcież!

Prakseda. Ach! cóżem ja uczyniła!

Antoś. Dobrześ, dobrze zrobiła. — Dalej w drogę!

Maksym. Ej! Antosiu! a gdzie głowa? w tym mundurze chcesz uciekać? może jeszcze wezmiesz karabin?

Antoś. Cóż począć?

Maksym. Precz z tym. Oto twoja odzież.

Zdejmuje płumoczek.

Antoś. Dziękuję ci — dawaj. *Zrzuca mundur.* Bywaj zdrowa, biała skorupo, coś mię, jak żółwia, trzymała w swoim więzieniu. Odedrzeć ciebie od ciała nie można bez krwi — niechże płynie, ale przynajmniej tam, gdzie się urodził. *Odrzuca karabin.* Bądź zdrow, przyjacielu! Za to, że się z tobą rozstaję przed czasem, może mi pluniesz w oczy i łeb roztrzaskasz. Cóż robić? — mnie tam woła inna powinność.

Maksym. Masz na zmianę. *Daje mu pistolety.*

Antoś. *przypatruje się i całuje.* Moje, moje własne, Maksymie! niech ci Bóg płaci. *Kładzie je za pas i odziewa się.*

Maksym *daje mu topór.* I to jeszcze twój.

Antoś. Mój, mój, Maksymie! — to trzecia ręka górala. Chodźcież teraz, bo nie rano.

Maksym. Pamiętajże, Antosiu, żeś cieśla.

Antoś. Cieśla, tak — a kto zechce wątpić, potrafię go przekonać! *Potrąca toporem, drugą ręką obejmuje Fraksedę i wychodzą.*

SCENA III.

Wieś Żabie. — Otwarte miejsce przy krynicy. Anna wchodzi z wiadrami i trzyma za rękę córeczkę. — Marta siedzi na ziemi pod skałą z zakrytą twarzą.

Anna. Czegóż chcesz?

Dziecię. Czy ojciec dziś wróci z Kossowa?

Anna. Dziś.

Dziecię. Czy ojciec nam co przywiezie?

Anna. Zeby tylko sam wrócił.

Marta podnosi głowę. Dobrze mówisz, kobietol! Nie zawsze ten wraca do domu, kto z niego zdrowo wyjechał.

Anna. Martol czemuż wy mnie straszycie?

Marta. Tyś żona Prokopa, a to twoja córka?

Anna stawia wiadra i tuli dziewczynkę. Moja.

Marta. Przywiążże jej kamień do szyi i rzuć w rzekę.

Dziecię. Matko! jaka ona straszna?

Anna. Ach! zła kobietol! cóż ci dziecko winno?

Marta. Ona mi nic nie winna, to też ja dla jej dobra tak radzę.

Anna. Dla jej dobra chcesz, żebym ją utopiła?

Marta. A czemu nie? — Patrzaj na mnie, na to wyschle lice — to od głodu; na te oczy zapadnięte i zapalone — to od ciągłego i gorzkiego płaczu; na to odzienie brudne i podarte — niema komu wyprać go, niema komu naprawić, bom ja stara i bezsilna, a sługi nie mam, dzieci nie mam — samam, sama jedna na świecie. Ja siadam nad drogą, żeby dobry człowiek, przechodząc, dał mi kawałek chleba, bo zarobić nie mogę, a zarobić dla mnie niema komu. I teraz siedzę tu, nad krynicą, żeby mi kto podał kroplę wody, bo wiadra nie udźwignę, a przynieść niema komu, bom sama, sama jedna na ziemi. Nie lepiejżeby mi było, gdyby mi była matka kamień do szyi uwiązała, niż teraz?

Dziecię. Matko! jaka ona biedna!

Anna zakrywając oczy. Cicho! dziecię!

Marta. Tak i twoja córka. Dziś maleńka, rumiana i szczęśliwa, dziś wyciąga do ciebie rączki,

i usta jej śmieją się, a choć niekiedy lzy ma na oku, ale w sercu niema bólu, w głowie niema gryzącej myśli. — Ale twoja córka wyrośnie i wyciągnie ręce nie ku tobie; zechce przycisnąć do serca śmiałego chłopca, co się jej podoba; ty pozwolisz, zaprosisz na niedzielę księdza i swatów; družki się zbiorą, posadzą dziewczynę, rozplotą jej kosę i włożą wieniec na głowę — i w tymże czasie przyjdzie taki łotr, jak twój mąż, pochwyci jej narzeczonego i w kajdanach do Kut odeśle — cóż myślisz? czy wtenczas ci córka twoja nie powie: matko! czemuś mi kamienia do szyi nie uwiązała, gdyś była dzieckiem?

Anna. Ach! przestań, Marto, przestań!

Marta. Albo jeżeli córka twoja zostanie matką, jeżeli jej Bóg da syna jedynaka, a ona go wykarmi swym mlekiem, wykąpie swojemi łzami, wygrzeje swym oddechem, swoją duszą, i syn jej wyrośnie, stanie się ozdobą Karpat, dumą wsi całej, jedyną pociechą, jedyną podporą starej matki — a wtenczas przyjdzie taki łotr, jak twój mąż, pochwyci go, w jej oczach zwiąże, ją biedną oderwie od jedynego dziecka i rzuci na ziemię, a potem zostawi sierotą bez pomocy, bez chleba, bez kropli wody, samą, samą jedną na świecie — cóż myślisz? nie będzie cię twoja córka przeklinać, żeś jej kamienia do szyi nie uwiązała i nie wrzuciła w rzekę?

Dziecię. Matko! chodźmy stąd!

Anna. O matko! niech wam Bóg nie pamięta, jak wy mi duszę rozrywacie.

Marta *powstaje*. Ja tobie duszę rozrywam? —

a kto mi duszę rozdarł i serce krwią zalal? Czyście wy nie zasłużyli na moje przekleństwo? O! nie pożałuję go wam. Żono zbójcy Prokopa! bądź wdową, a dzieci twoje niech będą sieroty bez koszuli, bez chleba.

Anna porywa wiadra. Uciekaj, dziecię! uciekaj!

Marta idzie za nią. Uciekaj, uciekaj! — wróć do domu i zastań tam pożar, zastań zarazę w swojej oborze i trupa w swojej kołysce!

Wychodzi za nią.

SCENA IV.

Las w górach.

Antoś w góraljskim odzieniu, leży pod drzewem; po chwili podnosi się i patrzy z niecierpliwością. Jeszcze go niema? Coś stary Maksym zleniwił. Nic dziwnego: jemu nie tak pilno, jak mnie. Po chwili. Mój Boże! z taką radością tu biegłem! tak mi serce biło, kiedy Prut przestąpił i zobaczył na dalekim niebie wierzchołki gór rodzinnych! — a teraz tu przede mną moja wieś, tu ojcowska chata, tu okno, skąd mię wyglądała matka, a mnie niewesoło — siedzę i czekam — na kogoż? — na śmiertelnego wroga, aby mu grzech jego kawalkiem ołowiu przypomnieć. — Przeklęty los mój! — Ale cicho — ktoś idzie — to pewnie Maksym. Maksym wchodzi; Antoś bieży ku niemu i chwytą go za rękę. A co? w domu?

Maksym. W Kossowie.

Antoś. Prędko wróci?

Maksym. Dziś.

Antoś. Dziś — no, dobrze. Zaczekam. *Przechadza się.* Maksym pogląda nań z niespokojnością. Maksymiel Prakseda u matki?

Maksym. U matki.

Antoś. Idź i ty tam, dobry Maksymiel! przygotujcie ją. Biedna matka, gdyby mię nagle obaczyła, umarłaby z radości.

Maksym. Słuchaj, Antosiu! jabym ci chciał coś powiedzieć.

Antoś. Ani słowa. Czy to ja dziecko i nie wiem, czego mi chcieć i co począć? Przysiągłem sobie w duszy i dotrzymam. Idź! idź, Maksymie, proszę cię! Ja tu zostanę. Stąd widno mi drogę, którą wracać będzie do domu. O! niech się porachuje z sumieniem, bo jutra dla niego niema!

Maksym. Jak sobie chcesz, Antosiu! Mnie się jednakowo zdaje, żeby lepiej było dla nas wszystkich, gdybyś mu dał spokój. — On nie wart twojej kuli.

Antoś. Gdyby on był z rozkazu starszych, z woli prawa odjął mi swobodę, zabił moje młode lata, ha! znosiłbym swój los cierpliwie i nie śmiałbym go obwiniać. Ręka powinna słuchać i robić to, co każe głowa. Ale tu Prokop winien. Jego własna złość mię zabiła, jego złość wygnała mię ze wsi, włożyła na mnie kajdany, zrobiła dezterterem¹⁾, odebrała matkę, Praksedę i wszystko, wszystko! Prawo cesarskie każało, aby jeden syn zostawał zawsze w domu i był podporą rodzicom, a oni

¹⁾ Ten, co ucieka z wojska.

to prawo wykręcili, zmięli, zniweczyli. Bóg przykazał szanować starych, a on chwycił za siwe włosy zgrzybiałą kobietę i rzucił ją o ziemię! — o niech się rachuje z sumieniem! jutra dla niego niema! *Pogląda ku drodze — nagle porywa pistolety i za pas kładzie — chwytą topór i woła. Aha! patrzaj! powraca — i w porę. Klusem jego koń biały niesie go do domu. Śpiesz, śpiesz — pocałuj żonę i dzieci — bo ja tuż za tobą.*

Wybiega. — Maksym idzie za nim zwolna z nachylną głową.

SCENA V.

Chata Prokopa.

Prokop wchodzi, stawia w kącie karabinek, wiesza pistolety i zrzuca płaszcz. No! chwalaż Bogu, że już człowiek w domu. Wszędzie to dobrze, a w domu najlepiej. Gdzież to moja kobieta? Hej! dzieci! — Niema nikogo. Pewnie poszła po wodę. Kawał drogi spory, wiadra ciężkie, a ona biedaczka, jak jaka pani, taka delikatna. Siada. A może gdzie i do sąsiadki na gawędę — nu, niewielki grzech, kiedy wszystko zrobiono. To tylko źle, że mi się dyabelnie jeść chce, a niema komu przyrządzić. Aha! ale otóż i ona.

Anna wchodzi blada i pomieszana. Ach! Prokopie! ty już tu? Rzuca się na jego szyję i płacze.

Prokop. Anno! Bóg z tobą! co ci to?

Anna. Nic, nic — teraz już łzej.

Prokop. Czegożeś się tak przestraszyła?

Anna. Mężul mężul podobnoś się ty czegoś złego dopuścił?

Prokop. Co to ma znaczyć, Anno?

Anna. Ach! to ma znaczyć, że nad nami wisi nieszczęście. Tylko co widziałam Martę. Straszno i boleśnie na nią popatrzeć, a jej słowa osiadają na sercu, jak kamień! Pocoś ty się wmieszał do tej sprawy? To dzieło grzeszne, Prokopie! — Ona przeklęła mnie i dzieci twoje!

Prokop. Czy tylko tyle? *Śmieje się.* Gdzie twoja głowa, moja Anno? Było czego się przestraszyć!

Anna. Przekleństwo, mój mężul

Prokop. Puste słowa, żono! — Gdyby przekleństwo starej baby mogło się zamienić w proch i kule, powiedziałbym: — źle, strzeż się! a teraz śmiej się z tego, lub jeśli ci jej żal, płacz sobie z nią, a mnie tymczasem daj co jeść, bom głodny i zmęczony.

Anna. *nakrywając stół w tym kącie, gdzie stoi broń Prokopa.* Ach! to przekleństwo matki, mój mężul — Ono straszniejsze, niż proch i kule. I ja matka, i czuję to, żebym póty nie przestała wołać, póki by Bog nie ukarał tego, co mię skrzywdził.

Prokop *siada za stołem.* No, dosyć tego — dawaj jeść. — Wszystko mi się udało: sprzedałem weinę, sprzedałem bryndzę, drożej, niż inni. Dla pana mandataryusza przywiozłem baryleczkę wina, która mię prawie nic nie kosztuje. Wszystko zapłacili nasi ludzie, a ja oddam od siebie. Toto nazywa się umieć chodzić koło swoich interesów! Pan mandataryusz jest osieł, choć czasem i po łacinie gada. Gdzie jemu rozplątać moją siatkę? Ja teraz tu rozgospodaruję się, a on w moich rękach

będzie tylko miotłą, którą stąd wymiotę każdego, co mi się nie podoba, jak śmiecie z podwórka. Ale czegożes ty tak nos spuściła na kwintę?¹⁾ he?

Anna. Nic, nic — słucham, co mówisz; a na sercu coś ciężko i oczy chcą płakać.

Prokop. Mówilem ci, żeś głupia. — No, chodź, pocałuj mię i przynies mi śmietany, jeżeli jest, żebym się trochę orzeźwił.

Anna. Zaraz — mam świeżą. Bierze z półki miskę, tyżkę i wychodzi w boczne drzwi

Prokop. Ze też tej baby dyabli wziąć nie mogą! tak mi kobietę przestraszył! Przekłeta czarownica! Wyforuję²⁾ ja ją prędko! *Antoś wchodzi średniemi drzwiami i staje. Któż tam znowu? Cóż? nie odzywasz się? Kto? Ogląda się przestraszony. Ha! to ty! Zrywa się, chcąc chwycić za pistolet. Antoś strzela, i Prokop pada bez życia.*

Anna *wbiega przełęczniona*. Co się tu stało? Kto ty jesteś? — Ach! to syn Marty! Bieży do męża i przykłęka przy jego zwłokach.

Antoś. Ja — syn Marty, a ty — wdowa.

Chce wychodzić i spotyka we drzwiach Maksyma; za nim wchodzi Marta i Prakseda.

Maksym *patrząc na trupa*. Za późno!

Marta. Synu! synu! tyś wrócił i do mnie nie śpieszysz? pierwiej tu przyszedłeś?

Antoś. Miałem tu pilniejszą robotę — spojrzysz tam, matko!

¹⁾ Kwinta — najcieńszy głos na skrzypcach; spuścić nos na kwintę — spuścić z tonu, spokornieć.

²⁾ Przepędzę.

Marta. Nie żyje!

Antoś. Ten, co cię rzucił na ziemię, co cię nogą potrafił, nie żyje, i wdowa jego nad nim płacze.

Marta. Sprawdziło się więc moje przekleństwo! Bóg wysłuchał prośb matki i wrócił mi syna, który pomścił się za moją krzywdę! — Chodź! uściskaj mię, moje dziecię! Żebyś ty wiedział, jak mię oni męczyli, nim mi powiedzieli, żeś wrócił. Kłamali, żeby serce matki nie pękło ze zbytnej radości. Ach! ono od smutku zeschło, wywiedniało od płaczu! Ty tylko możesz mi dać radość i życie. Chodź tu, moja pociecho jedyna!

Antoś. Nie, matko, nie na radość, nie na pociechę twoją wróciłem! — wróciłem tylko pomścić się o twoją krzywdę!

Marta. Boże mój! co ty mówisz, synu?

Antoś. Rzeczy proste, moja matko, które i ty sama pojmiesz. Jestem dezterter i zabójca. Dla mnie niema pokoju, niema przytulku między ludźmi, i dla ciebie niema pociechy, niema radości. Wydarto mię tobie prawnie, i ja sam wrócić się tobie nie mogłem. Nie masz już syna, matko! Wrócił tylko mściciel twej krzywdy. Bierze za rękę *Praksedę*. Oto twoje jedyne dziecię. Ona cię będzie szanować i do ostatniej godziny strzedz i służyć.

Marta. A ty? a ty?

Antoś. Ja, matko, muszę dla siebie szukać schronienia.

Marta. Tamże dom twój, synu!

Antoś. Dla mnie niema domu. Mój dom — ja-skinie i puszcze, a moi krewni — zbójcy!

Wychodzi, Maksym za nimi.

Marta w osłupieniu. O! ja nieszczęśliwa!
Prakseda przyklęka i obejmuje jej kolana. Biała nam!

Anna podnosi się. Biada wam!
Zasłona spada.

BIBLIOTEKA
Państw. Szkoły im. matki męskiego
w SIEDLCACH

AKT TRZECI.

SCENA I.

Przed chatą Antosia. Noc. *Prakseda* siedzi pod drzewem,
koło niej stoi *Antoś*.

Antoś. Nie płacz, *Praksedo*!

Prakseda. Jam ciebie zgubiła!

Antoś. Nie ty, biedna dziewczyno! nie dla ciebie
tu wrócił. Czy matka śpi?

Prakseda. Usnęła. Długo na ciebie czekała. Co-
dzień siedzi w tem oknie, wygląda cię, wygląda,
póki jej siły nie opuszczą i sen nie zmorzy.

Antoś. Biedna matka! wychowała mnie, wy-
pieściła, żebym był pociechą, podporą; a jam —
rozbójnik!

Prakseda. Serce twoje czyste.

Antoś. Ale ręka moja zakrwawiona cudzem
życiem, zawalana cudzem dobrem.

Prakseda. My ciebie tak kochamy, *Antosiu*!

Antoś. Tem gorzej dla mnie. Wolalbym, że-
byście pomarły. W grobie nikt się nie wstydzi za
syna, ani za kochanka. Ja wtenczas byłbym swo-

bodnym: z jednej góry szedłbym na drugą, z jednego kraju¹⁾ w drugi; mściłbym się okrutnie waszej krzywdy i mojej na ludziach złych, na nieludzkich bogaczach. Drżeliby przed zbójcą, którego można powiesić, ci wszyscy zbójcy, dla których prawo nie naznacza szubienicy.

Prakseda. Ty pragniesz naszej śmierci?

Antoś. Ja pragnę waszego spokoju. Ale co już o tem próżno mówić? Muszę pośpieszać. Bądź zdrowa, Praksedo! Teraz na mnie polują, jak na niedźwiedzia. Wczoraj niedaleko ścieżki leżałem za kłoda, kiedy przejeżdżał komisarz z Kut, a za nim strażnik. Słyszałem ich rozmowę. Znaczny oddział wojska nas ściga. Już znają naszą kryjówkę; trzeba nam poszukać innej.

Prakseda. Gdyby nie matka, poszłabym z tobą.

Antoś. Nie, Praksedo! Tyś nie na żonę opryska. O! wiele razy patrzę na tę chatę, gdzie się urodził i wychował, zawsze ciśnie się do mojej głowy to, com sobie wtenczas myślał, gdy cię pokochał. Ty miałaś tu być gospodynią, na tym progu miałaś mię czekać, wracającego z każdej drogi, z każdej roboty; tu ja miałem uczyć twojego syna biegać po górach, ścigać sarny, ścinać toporem najwyższe gałęzie, być uczciwym i śmiałym, bać się tylko Boga i prawa — o! Praksedo! i to wszystko przepadło!

Prakseda. Antosiu! przestań! Mnie się w głowie miesza. O! biada mi!

Antoś. Biada ci! biedna dziewczyno! — to-

¹⁾ Z Galicyi na Węgry i odwrotnie.

bie już nie iść za mąż; tyś była narzeczoną robójnika!

Prakseda. Weź mię: ja będę twoją żoną i z tobą razem zginę.

Antoś. Nie, Praksedo! zdejm z palca tę obrączkę, która cię ze mną wiąże. *Zdejmuje ją.* Na znak rozwodu i wiecznego rozstania, rzucę ją w najgłębsze miejsce Czeremoszu. Ja teraz mam inną żonę. Ona wkrótce obejmie moją szyję cienką i giętką ręką i trzymać będzie w swoim objęciu póty, póki kruki oczy nie wykolą. Moja żona — szubienica.

Marta z chaty. Praksedo!

Antoś. Słyszysz? *Ściska ją gwałtownie.* Póki ten głos nie umilknie na wieki, żyj, o! żyj, moja Praksedo! *Szybko wychodzi.*

Prakseda. Ja zwaryuję! Sama nie wiem, co się ze mną robi. Gdzie jestem? Ktoś mię wołał. — Kto? *Ogląda się dziko.*

Marta z chaty. Praksedo!

Prakseda. Aha! to ty! Idę, idę.
Wychodzi.

SCENA II.

Miejsce dzikie wśród skał i lasów. Na ściętym pniu pali się ogień. Opryszki w różnych grupach. Noc.

Jeden z opryszków stoi na przodzie z czarką w ręku i śpiewa.

Hej! bracia opryszki! dolejcie do czarki,
Do ognia przyrzućcie tu drzew,

Nastróście mi gardło odgłosem fujarki —
Wesoły zaśpiewam wam śpiew.

Bezpiecniśmy, póki na ziemi zielono
I liściem okrywa się las;
W gęstwinach i krzakach, za kłodą zwałoną,
W gałęziach nie znajdzie nikt nas.

Jak ptakom drapieżnym, nam skały gospody;
Tam śpimy spokojnie do gwiazd;
Gdy noc się nasunie na ludzi, na trzody,
My z naszych spuszczaemy się gniazd.

Barany z połonin nam dają pieczenie,
Jest wódka, gdy przyjdzie myśl zła,
Pieniędzy dostarczą podróżnych kieszenie,
Buziaka Huculka nam da.

Tytoniu przyniesiem z węgierskiej granicy.
Tam zwiążem strażników za tby,
Odzieży dostaniem z żydowskiej kramnicy
I Żyda przykujem do drzwi.

Gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy,
Tam dla nas forteca i dom!
Nie straszny nam Niemiec, gdy głodu nie znamy,
Nie straszna nam ślota i grom.

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!
Niedługo pozwolą nam żyć:
Gdy śniegi nas zdradzą, na sznurku zaśniemy,
Ni śpiewać nie będziemy, ni pić.

Wszyscy. Weselmyż się, bracia, dopóki możemy! itd.

Pierwszy opryszek. Do wszystkich tysięcy dyabłów! przestańcie o tym przeklętym śniegu! Śnieg biały — i Niemiec biały; ja ich równie nienawidzę. Po śniegu białym Niemiec biały śladem pójdzie za nami i, jak niedźwiedzi, nas wytropi.

Drugi opryszek. Porzuć! — jeszcze do tego daleko. Dziś z czarką w rękę, jutro obejmiesz ładną Huculkę, a pojutrze sznurek ciebie obejmie.

Trzeci opryszek. A cóż? to wesoło!

Czwarty opryszek. Nie żyć-że człowiekowi do stu lat!

Piąty opryszek. Lepiej jedno lato, jak orzeł, niż sześć, jak baran. Tu cię kula dogoni — upadniesz między skały, i basta — przynajmniej niewiążą cię co roku i co roku nie strzygą.

Szósty opryszek. Tu możesz pozwolić duszy pohulać. Nikt ci tu nie powie: to rób, a tego nie rób; to można, a tego nie można; to sąsiedzkie, a to pańskie. — Milion set dyabłów! a co moje?

Czwarty opryszek. Tu wszystko moje, co mogę wydrzeć. Mam pełne kieszenie — biorę mało; mam puste — biorę wszystko i basta.

Trzeci opryszek. A czasem się i ucieszysz porządnie. Trzy dni temu, ot z nim, leżeliśmy w trawie na samej węgierskiej granicy. Aż patrzymy — jedzie Żyd. Jedzie, i pomrukuje, i ogląda się. A nas z trawy nie widno. Aż on krzyknął raptem: stój — a bestya Żyd, jak worek plewy, buch na ziemię! On konia za cugle, a ja Żyda za pejsy. — A co ty, bratku, wiesz? dawaj cwancygiery! — Żyd zębami dzwoni, a ja mu toporek do szyi.

Piąty opryszek. I zarzynałeś?

Trzeci opryszek. Fe! na co rznąć tchórza? Jego własny strach gorzej kole, niż nóż opryszka. Jemu pluń w oczy, to on myśli, że kula, i dyabli go biorą.

Drugi opryszek. I cóżes zrobił?

Trzeci opryszek. Otl naśmiałem się do woli. Żyd usiadł na ziemi, zaczął mię ze strachu łajać, a potem krzycheć: — aj waj! ty gałganie, oprysku! na co mnie zarzynać? Co to za głupstwo! Ja tego nie wytrzymam! *Śmieją się.*

Pierwszy opryszek. I puściłeś go tak?

Trzeci opryszek. Ej! nie. — On wziął co lepsze towary, ja wziąłem pieniądze, oberznąłem mu pejsy i dopiero puściłem.

Pierwszy opryszek. A wiele wziąłeś?

Trzeci opryszek. A tobie co do tego?

Pierwszy opryszek. Co do tego? milion dyabłów! To właśnie i źle, że u nas każdy na swoją rękę rabuje.

Trzeci opryszek. Trzeba ci pieniędzy, to ci dam, ale tyle, ile mnie się podoba.

Pierwszy opryszek. Żebym ja był waszym naczelnikiem, tobym cię za to kazał powiesić.

Trzeci opryszek *podnosząc toporek.* Nim ty mię każesz powiesić, ja ci mogę uszy obciąć.

Maksym *który dotąd siedział w myślach, podnosi się.* Milczeć! bo was każę związać obu-dwuch. — Hej! czy wszyscy są?

Trzeci opryszek. Kuźmy niema i Michajła.

Maksym. A cygan gdzie?

Piąty opryszek. Ten złodziej śpi ze wstydu.

Drugi opryszek. Cóż mu się zrobiło?

Piąty opryszek. Na drodze do Burkutu spotkał Huculkę z Krzyworówni, która panom nosiła masło. Żwawa dziewczka, mojego wzrostu, rumiana czarnobrewa. My tam obaj leżeliśmy w wierzchowinie¹⁾ i czekali, czy się co nie trafi. Dziewczyna idzie i śpiewa. Mój cygan do niej, i nuż prosić, żeby go pocałowała.

Kilku. Paskudnik!

Piąty opryszek. Dziewka to i zmiarkowała, że Cygan paskudny i tchórz, niby to pozwala. On się tam do niej przysunął, a ona mu tymczasem toporek z ręki i pistolet z za pasa, i dawaj kurek odwodzić i mierzyć Cyganowi prosto w łeb; a mój Cygan w nogi, a ja w śmiech.

Wszyscy śmieją się.

Szósty opryszek. A dziewczka?

Piąty opryszek. Plunęła za nim, wzięła pistolet i topór, i poszła spokojnie.

Czwarty opryszek. Tęga! czemuż jej do nas nie werbował? *Słychać wystrzał.*

Maksym. Co to jest?

Pierwszy opryszek. Może Niemcy.

Drugi opryszek. Tobie tylko Niemcy śnią się. Poczekaj do zimy, to ci siądą na karku; a teraz co nam zrobią? To pistolet Antosia.

Za sceną.

Hop! hop! hop!

Trzeci opryszek. To nasi. Wchodzi Kuźma i Michajło i prowadzą Mandataryusza z zawiązanymi oczyma. A to co za płaszek?

¹⁾ Wierchołek (góry, pagórka)

Maksym. Odwiążcie mu oczy. — Eh! pan mandataryusz! — to ty!

Mandataryusz. *drząc.* Al... al... bowiem ja — Magnanimi Opriscones! misereamini!¹⁾ *Śmieją się.*

Pierwszy opryszek. Co on bełkocze?

Mandataryusz *składając ręce.* Piąte: nie zabijaj — szóste: nie cudzołóż — siódme: nie kradnij! — Jeszcze siódme i szóste... można i tak i siak — ależ piąte, — piąte, strzeżcie się... albowiem...

Maksym. Czemu ty, bratku, nie powtarzałeś sobie tych przykazań tam, w twojej kancelaryi?

Mandataryusz. Albowiem zawsze powtarzałem, to jest, codzień.

Maksym *groźnie.* Kłamiesz.

Mandataryusz *przypada na kolana.* Mea culpa!²⁾

Maksym. Jakżeś się tu popadł? he!

Mandataryusz. Albowiem wśród białego dnia, to jest, najniesprawiedliwiej. Spoczywałem na Krętej³⁾ i czterech Huculów ze mną.

Trzeci opryszek. A dwóch ciebie wzięło.

Mandataryusz. Zdrada — piekielna zdrada! Dwaj z moich poszli do rzeki, a dwaj położyli się spać. Albowiem wtenczas ci hultaje...

Kuźma. Ach! ty złodzieju!

Mandataryusz. Albowiem pozwólcie mówić. Ja krzyczałem, a moi spali; ci mnie wiązali, a moi spali; ci mnie poprowadzili, a moi spali — albowiem wszyscy szelmy są.

¹⁾ Wielkoduszni opryszkowie, zlitujcie się (łac.).

²⁾ Moja wina! (łac.).

³⁾ Nazwa szczytu.

Maksym. Zasłużyłeś na to, bratku!

Mandataryusz. Albowiem pamiętajcie, co to jest rząd — że to nie są żarty. Rozbijać, to wy wiecie — a mandata, to ja wiem. — A sztandrecht¹⁾...

Wszyscy śmieją się.

Maksym. Pokażcie mu sztandrecht.

Kilku. Sznurka! sznurka!

Mandataryusz. Zmiłujcie się! — sznurek dla mandataryusza? *Śmieje się.* Nie żartujcie, albowiem to nieładnie.

Trzeci opryszek. Może wolisz topór.

Mandataryusz *płacze.* Dobrzy ludzie! albowiem ja was zawsze tak serdecznie kochałem.

Czwarty opryszek *przykłada mu pistolet do piersi.* Toż ci i podziękujemy.

Mandataryusz. Zginąłem! *Szepcze.* — Pater noster, qui es in coelis²⁾...

Antoś *wchodzi szybko.* Co to jest?

Maksym. Kuźma i Michajło złapali na drodze do Burkutu ot tego tu panicza. Przypatrz mu się — to twój znajomy.

Antoś. Podnieś głowę, tchórze!

Mandataryusz *ogląda ze strachem.* Aktualnie zginąłem... Dominus Antonius³⁾ Rewizorczyk.

Antoś. Któregoś osądził burzycielem spokojności, kontrabandzystą, buntującym Huculów, i za to mnie, jedynaka, przeciwko prawu oddałeś w rekruty zrobiłeś deztertem, a potem rozbójnikiem? — Coś

¹⁾ Sąd wojenny.

²⁾ Ojcze Nasz, któryś jest w niebiesiech (łac.).

³⁾ Pan Antoni (łac.).

posiał — zbieraj! jakieś piwo nawarzył, takie pij teraz! — Na gałąź!

Mandataryusz. Pozwól mi się pomodlić.

Antoś. O! i ja modliłem się niegdyś! Choć prosty chłop, alem umiał się modlić, bom się urodził i wychował tu, gdzie wszystko wielkie mnie otaczało; gdzie każde drzewo, każda skała, każdy wierzchołek, w chmury schowany, uczyły mnie wielkości i miłosierdzia Tego, co to wszystko potworzył. — A wyście mi i to dobro odjęli; ja teraz nie mogę się modlić, ja nie śmiem podnieść do nieba ręki, bo na niej krew! — Precz z nim na gałąź. *Mandataryusz chyli się i pada zemdlony.*

Maksym. Antosiul podobno obejdzie się bez sznurka. Zadławiliś go słowami.

Antoś *przypatruje się.* Omdlał ze strachu, podły tchórz! Podnieście go. Jak się trzęsie, nikczemnik! Precz z nim! Zawiązać mu oczy i wyprowadzić gdzie na błędną ścieżkę, niech tam przepada. Nie wart sznurka, na którym ginie śmiały opryszek. *Dwaj odprowadzają go.* Hoła, chłopcy! do mnie! Naostrzyć topory; kule i proch niech każdy ma pod ręką. Tę naszą kryjówkę już znają.

Pierwszy opryszek. Milionset dyabłów! nie mówiłem?

Drugi opryszek. Cicho! — Skąd wiesz, Antosiu?

Antoś. Wiem — sam słyszałem. Trzystu ludzi posłali w różne strony. Wszyscy strzelcy, jak psy gończe, nas tropią. Komisarz z Kut jest z tym oddziałem, który tu na nas idzie. Ma moc w rękę i groźny papier za pazuchą. Kogo złapią — na szubienicę.

Trzeci opryszek śpiewa.

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!
Niedługo pozwolą nam żyć;
Dawajcie tu wódki, nim w taniec pójdziemy,
Już jutro nie dadzą nam pić.

Kilku. Wódki! wódki! tu!

Antoś. Warał ani kropli! Leb rozplątałem temu, kto sięgnie do flaszki! Milczenie! — Z tej kryjówki dziś jeszcze precz! Rozbierzcie obóz, każdy na siebie po równej części: chleb, proch i kule — reszta w ogień, w wodę. Od Czepczyna na prawo i na lewo, niedalej jak na milę od granicy, skryć się na węgierskiej ziemi. Po dwóch, po trzech, najwięcej, siedzieć w niedostępnych miejscach. — Co to mamy dzisiaj?

Maksym. Piątek.

Antoś. Sobota, niedziela, poniedziałek, żeby żaden nie śmiał nosa pokazać ze swej kryjówki! Słyszycie?

Wszyscy. Mów! mów!

Antoś. We wtorek o północy, kogo nie złapią i nie powieszą, niech będzie na Czarnej górze. Z głębi jeziora, niedaleko brzegu, sterczą dwie jodły.

Kilku. Wiemy, wiemy.

Antoś. Naprzeciwko nich, od węgierskiej granicy pod górę, idzie ścieżka między skałami. Ujdziecie nią dwieście kroków. Na prawo będzie kamień, na którym znajdziecie starą plachtę. Kamień ten odwalić, tam będzie pieczara, i w niej

ja was czekać będę. — A teraz co żywo zbierać się! — *Opryszki zbierają się: zostają na przodzie sceny Maksym i Antoś. O! doprowadzili mnie do ostateczności! Ha! cóż robić! bronić się trzeba! Maksymie, jeśli nam się uda we wtorek zebrać w pełnej liczbie...*

Maksym. Cóż zrobisz?

Antoś. Gdy nas Niemcy będą szukać tu, my im tam — za plecami. *Słychać wystrzał. Co to jest?*

Maksym. Pewnie który mandataryusza poczęstował. *Wystrzał drugi, dalej trzeci.*

Antoś. Ochl! to karabin! — do broni, chłopcy!

Trzeci opryszek wraca raniony. Niemcy! Niemcy naokoło. — Uciekajcie! Pada i kona. Nowy wystrzał ubija przy Antosiu stojącego opryszka.

Antoś. Rzućcie wszystko, i dalej w różne strony! *Wystrzał rani Antosia. Oho! znalazłaś mię, przyjaciółko! Maksymie! dalej do matki, do Praksedy! — biegnij, bo ja nie mogę.*

Przypada na kolana. — Opryszki rozbiegają się. Wystrzały z różnych stron. Dwóch jeszcze pada na scenie, którą napętniają żołnierze i okrążają Antosia. Po chwili wchodzi komisarz, oficer i za nim mandataryusz. Żołnierze przyprowadzają kilku schwytanych opryszków.

Komisarz. Panie poruczniku! każ jeszcze raz obejrzeć wszystkie kryjówki dokoła. Znam ja ich dobrze. Niejeden pewnie tuż przyczepił się do drzewa, lub przylgnął do skały.

Porucznik *do feldfebla.* Weź dwudziestu ludzi, i przetrząś naokoło wszystkie miejsca podejrzań! Trupów precz! *Zwleka ich na stronę.*

Komisarz. Wielu złapano?

Oficer. Raz, dwa, trzy... pięciu wszystkich.

Komisarz do więźniów. Kto wasz naczelnik?

Wszyscy milczą.

Mandataryusz *występuje i ukazuje na Antosia.*

Hic est¹⁾ — albowiem znam go dobrze.

Komisarz. Opatrzyc jego ranę. *Podnoszą go i obwiązują.*

Mandataryusz *podchodzi zuchwale.* Zbójca! to jest, rozbójnik! Łotr! to jest, hultaj! — Na gałąź, to jest — na szubienicę! Albowiem Boga w sercu niema. Podburzał przeciwko starszym młodszych, przekradał kontrabandę, bił strażników, dezertował z regimentu, zebrał szajkę rabusiów. Albowiem na wołowej skórze nie spisałby jego przestępstw. *Podsuwa się bliżej.* Łotr! rozbójnik! opryszek!

Antoś z uśmiechem. Zabo! skaczesz teraz na pochyłe drzewo. Tak mi dziękujesz, żem cię nie kazał powiesić! — Panie komisarzu! gdybyś był widział przed godzinką tego tchórza, jak walał się u nóg moich, jak wytarty krajcar, wstydziłbyś się z nim razem znajdować i pozwalać, aby on przy tobie śmiał gębę otworzyć.

Mandataryusz. Albowiem nowy dowód zuchwalstwa.

Komisarz *groźnie.* Milcz waćpan. **Mandataryusz** *skonfundowany* *odchodzi na bok.* Ty byłeś ich naczelnikiem?

Antoś. Ja.

Komisarz. Wielu miałeś w swojej szajce?

¹⁾ Ten jest (łac.).

Antoś. Odpowiadać będę tylko na to, co się mnie tyczy.

Komisarz. Jak się nazywasz?

Antoś. Antoni Rewizorczyk.

Komisarz. Więc ty to zabiłeś strzelca Prokopa w jego własnym domu?

Antoś. Ja.

Komisarz. Jaki miałeś powód?

Antoś. Szarpnął za włosy moją starą matkę, rzucił ją na ziemię i potracił nogą.

Komisarz. Dlaczegożeś dezterterował?

Antoś. Żeby go zabić.

Komisarz. Dlaczegożeś potem został rozbójnikiem?

Antoś. Dziwne pytanie! cóż miałem robić?

Komisarz. Czyś się spodziewał, że tym sposobem twoja zbrodnia zostanie bez kary?

Antoś. Bynajmniej — chciałem ją tylko przewlec, aby nie dobić starej matki. Po jej śmierci chciałem się oddać w wasze ręce sam.

Komisarz. Czyś jeszcze kogo zamordował, oprócz Prokopa?

Antoś. Wczoraj, przed samem południem, koń twój, panie komisarzu, wychodząc z Czeremoszu, potknął się tak, żeś mało nie upadł przez głowę.

Komisarz zdziwiony. No i cóż dalej?

Antoś. Wyjechawszy na ścieżkę, zlałeś na ziemię, usiadłeś na kłodzie i kazałeś strażnikowi poprawić siodło.

Komisarz. Jakto? tyś mnie wówczas widział?

Antoś. Byłem od ciebie, panie komisarzu,

o kroków dziesięć i słyszałem, coś mówił. Czy chcesz, żebym ci powtórzył?

Komisarz. Dosyć — wierzę ci.

Antoś. Jeżeli więc wówczas nie zabił ciebie, któryś miał przy sobie rozkaz mię powiesić, dla czegoś pytasz, czym jeszcze kogo nie zamordował, oprócz Prokopa?

Komisarz do siebie. Dziwny człowiek! *Głośno.* Czy masz co na swoją obronę?

Antoś. Nic nie mam — jestem zbieg, morderca i rozbójnik.

Komisarz. Czy wiesz, co cię czeka?

Antoś z pokorą. Wiem — szubienica.

Komisarz. Za dwadzieścia cztery godzin, nieboże! *Po chwili.* Tymczasem nie maszże o co prosić?

Antoś. Panie komisarzu! droga do Kut prowadzi koło mojej chaty. Pozwól mi tam odpocząć kwadrans, popatrzeć jeszcze na ten dach, pod którym się urodziłem, posłuchać szumu tego dębu, pod którym skakałem codzień, gdym był chłopcem niewinnym i szczęśliwym.

Komisarz wzruszony. Chodź, chodź! — *Do oficera.* O, cobym dał za to, żeby go można ocalić! — Idźmy!

Oficer do żołnierzy. Otoczyć ich — wy po pięciu w równych dystansach¹⁾ i — ostrożnie — broń na ramię — marsz!

Wychodzą.

¹⁾ Odstępach.

SCENA III.

Miejsce nad samym Czeremoszem. — Z daleka widać wieś. — Maksym wchodzi i siada na kamieniu; z przeciwnej strony jeden z opryszków skrada się ku niemu i bierze go za rękę.

Opryszek. Maksymie! was nie złapali?

Maksym. I źle zrobili.

Opryszek. Ja uciekam na Wołoszczyznę¹⁾.

Maksym. Idź z Bogiem, a ja zostanę tu.

Opryszek. Już przyprowadzili ich do wsi. Tam żołnierzy, jak śniegu. Uchodźcie, bo was schwytają.

Maksym. I powieszą — o! wielkie nieszczęście! Jest przed czem uciekać? Nasze życie, bracie, nie takie, aby je warto było ochraniać,

Opryszek. Oj! biada! biada! — Ale cóż to za dziewczka z rozpuszczonymi włosami do nas idzie? — Boże mój! jaka straszna!

Maksym. Nieszczęśliwa! pokochała go, jak swoją duszę; biegła za nim mil sześćdziesiąt; przyprowadziła nazad starej matce, była jej córką, jej sługą. Przyszedłem, powiedziałem jej: Praksedo! Antosia złapali Niemcy i jutro powieszą. Krzyknęła, objęła głowę rękami, jak obręczą, żeby nie pękła, błądź śmiertelna zsunęła się na jej twarz, jak para na szkło, kiedy chuchniesz — i odtąd spokojna. Nie śmieje się i nie płacze. Życie jeszcze w niej zostało i oczy otwarte — ale duszy już niema w tem ciele. — O! żał mi, żem jej nie ubił tem słowem tak, jak tam starą Martę.

¹⁾ = do Rumunii.

Opryszek. Ach! biedna! — patrz, dokąd ona idzie? *Prakseda wchodzi zwolna — patrzy na nich — potem odwraca się i idzie dalej.*

Maksym. Praksedo!

Prakseda *zatrzymuje się*. Skąd wam to przyszło do głowy? — to już bardzo dawno, kiedy orzeł schwyci na cmentarzu kość i zanieś na Czarną górę, a ona tam pobieleje od wiatru i śniegu — wy przyjdziecie, popatrzycie i powiecie, że to Prakseda. Jakże to można poznać? — Lepiej idźcie tam, gdzie was prosili. Tam już gości poszło dużo, a wszyscy czysto i biało ubrani. I Marta ich czeka i was czeka. Ona tam leży na tapczanie na środku izby, zimna i twarda. W głowach jej palą się dwie świece, a w nogach siedzi stara kuma i płacze. I tak potrzeba. Kiedy w cerkwi dzwonią i grabarz stoi z łopatą, to ludzie śmieją się, a kiedy dziewczynę ubierają do ślubu, to ona płacze, i matka płacze, i drużki płaczą; a przecież to wesoło. Idźcież i wy — i wam tam będzie wesoło. I ja zaraz przyjdę. Kwiatków już tam nazbierałam dużo; mam koszulkę białą, jak śnieg, i spódniczkę czerwoną, jak krew — tylko jeszcze piolunu narwę i wianuszek sobie zrobię — śliczny wianuszek!

Opryszek. Biedna!

Maksym. Nieszczęsna Praksedo!

Prakseda. Co bo wy gadacie o Praksedzie? Praksedy już niema. Ona kochała Antosia — jego złapali i powiesili, a ona biedna umarła. To już dawno.

Maksym *pasuje się z sobą*. Ha! zostawić ją

w takim stanie na pośmiewisko ludzkie? — Nie — Prakseda!

Prakseda. Prakseda była bardzo biedna. Ona go tak kochała! i lepiej zrobiła, że umarła. Po cóż jej było żyć na ziemi? — Jej nie to, co mnie. Mnie tu dobrze, mnie tu tak wesoło! bo kiedy człowiek nie głodny, to czegoż więcej potrzeba? — Jakem była na tamtym świecie, to mi mówili, że tu źle, że tu płacz i zgrzytanie zębów. Jaka nieprawda! Cóż stąd, że Antosia powiesili? No, to dawniej tak było, a teraz już tego niema; teraz na fujarce grają tak ślicznie, że aż wszystkie rybki w Czeremoszu skaczą i weselą się. A jeżeli Pan Bóg komu da rozum, to jeszcze lepiej — on sobie prosto pójdzie do rzeki i utopi się i potem tańczy z rybkami. I ja tam pójdę. — Wy nie wiecie, co się stało? On, jak się z nią żegnał, zdjął jej z palca obrączkę i mówił, że rzuci w wodę. Ja tę obrączkę znajdę, ona mi się przyda na moje wesele, *smutno* bo ja nie mam obrączki — patrzcie — a ta obrączka była śliczna; drugiej takiej, póki żyć będę, nie znajdę.

Maksym. Bożel odpuść mi ten grzech, może ostatni. *Bierze ją za rękę.* Dziewczynol chodź tu, tu ze mną. *Prowadzi do brzegu.*

Prakseda. Tam? czy tam obrączka? — Otóż to kiedy człowiek dobry się znalazł! — niema, jak górale. Tam daleko ludzie nie tacy. Oni go złapali i zaraz powiesili. Czyż oni nie wiedzieli o tem, że nim wiatr kołysać będzie i wydzierać jego piękne kędziory, że deszcz bić będzie w jego twarz, jak w zimną szybę, a potem kruk przyleci,

siądzie na głowie, wplącze swe szpony w jego włosy, nachyli się i dziobem oczy jego wykalać zacznie?

Maksym. Chodź! chodź, nieszczęśliwa!

Opryszek. Co ty chcesz robić? — szalony!

Maksym dziko. Idź precz! — chodź! *postępuje.*

Prakseda. Chodź prędzej! — i mnie trzeba śpieszyć — mnie tam czekają wszyscy, wszyscy czekają. *Nachyla się nad brzegiem.* Jak tam głęboko! czy tam?

Maksym strąca ją w wodę. Tam, moja dziewczko! uciekaj przed ludźmi — dla ciebie niema życia na ziemi.

Opryszek. Maksymie! Maksymie! coś ty zrobił?

Maksym chwytą go za gardło. Idź precz! bo cię zadławię. *Odrzeka go.* Ruszaj sobie w świat, gdzie cię oczy poniosą, a ja idę do Niemców.

Wychodzi. **Opryszek** zagląda do rzeki, okazuje gestem, że już po niej, i odchodzi.

SCENA OSTATNIA.

Izba w domu Antosia.

Na środku w głębi sceny, leży Marta na tapczanie; w nogach siedzi stara kuma, w głowach palą się dwie świece. Bliżej na lewo stoi Antoś, oparty o ścianę, i patrzy spokojnie na trupa matki. Przy nim dwóch żołnierzy. Na prawo stoi Komisarz i Oficer.

Komisarz do oficera. My, ludzie oświeceńsi, tylko sobie przyznajemy głębokie uczucia i mocno się mylimy. Jak słoje drzewa zacierają się

i nikną pod błyszczącym lakierem, tak i nasze namiętności. Nasza radość, nasz smutek mieszają się z sobą i zlewają, równie jak cienie ze światłem na dobrem malowidle. Czemże one są w porównaniu z wybuchami radości i rozpaczey tej natury prostej i nieokrzesej?

Oficer. Bolesny widok!

Komisarz. Ta nieszczęsna dziewczyna, z obłąkanym wzrokiem, to jego kochanka. Tu jego matka. Jedną wieścią, jednym słowem o jego wzięciu tamtej odebrali rozum, tej — życie. O! nie musiał być złym człowiekiem ten, którego tak kochano.

Oficer. Zal.

Komisarz. Patrz, panie poruczniku, co to za postawał jaki szlachetny smutek w jego oku! jaka rezygnacya i miłość w jego licu! O, jakbym rad go uratować! Ale niepodobna. Prawo nie zna liłości i znać jej nie może.

Oficer. Więc to ów mandataryusz go zgubił?

Komisarz. Postaram się, że pójdzie do kryminalu. On kłamliwem przedstawieniem zwiódł cyrkuł i przyprowadził go do popełnienia niesprawiedliwości. Zbójcą jest taki urzędnik.

Żołnierz wchodzi i mówi z oficerem.

Oficer. Stary jakiś opryszek sam się oddał w ręce nasze i prosi, żeby go wpuścić.

Komisarz. Niech wnijdzie! *Żołnierz wpuszcza Maksyma, który z obłąkanym wzrokiem idzie płośnie do Antosia.*

Maksym. Antosiul!

Antos. Hal to ty! — gdzie Praksesta? — nie poznała mnie.

Maksym. Wiem.

Antoś. Gdzież ona?

Maksym. Prakseda na dnie Czeremoszu.

Antoś. Sama się rzuciła?

Maksym. Nie.

Antoś. Któż ją tam stracił? — ty?

Maksym. Ja.

Antoś. Dziękuję ci, bracie! *Postępuje spokojnie
naprzód z pokorą.* Panie komisarzu! wszyscy moi
są już w miejscu bezpiecznem. Czas i mnie —
w drogę. *Zasłona spada.*

121.	Kubala L. dr. Bitwa pod Beresteczkiem	40	15
122.	— Obłężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem	32	12
123.	Szajnoch Karol. Wnuka króla Jana	20	8
124.	— Barbara Radziwiłłówna	32	12
125.	— Zdobywcę pługa polskiego. — Brody Krzyżackie	—	8
126.	— Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1675. Trynitarze	16	6
127.	Mickiewicz Adam. Ballady	32	12
128.	— B	—	8
129.	— L	10	—
130.	Słowa	8	—
131.	— J	10	—
132.	— M	12	—
133.	— Z	10	—
134.	— M	10	—
135.	Om	8	—
136.	— S	8	—
137.	— D	10	—
138.	— P	10	—
139.	Rodzi	8	—
140.	— K	8	—
141.	Konopnicka M. Z Liryk i obrazków	26	10
142.	Niemcewicz J. U. Splewy historyczne	40	15
143.	Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys	16	6
144.	Krasiński Z. Liryki. (Wybór)	26	10
145.	Brodziński K. Weseł	16	6
146.	Kondratowicz L. Szkolne czasy	20	8
147.	Słowacki J. Liryki. (Wybór)	26	10
148.	Malczewski A. Marya	26	10
149.	Fredro A. Pan Geldhab	26	10
150.	— Zemsta za mur graniczny	50	20
151.	— Służby pańskie	50	20
152.	Karpiński Fr. Wybór poezyi. Książnin D. Wybór poezyi	40	15
153.	Korzeniowski J. Mnich. Tragedya	40	15
154.	Krasicki I. Satyry i listy	26	10
155.	Naruszewicz A. Satyry	26	10
156.	Słowacki J. Książę Niezłomny	40	15
157.	Schiller F. Wilhelm Tell	45	20
158.	— Dziewica orleańska	50	20
159.	Byron. Glaur	26	10
160.	Schiller F. Marya Stuart	—	25
161.	Byron. Manfred	26	10
162.	— Wieżcień Czyllou	—	8
163.	Szymański A. Stolarz Kowalski	32	15
164.	Słowacki J. Anelli	26	10
165.	Krasiński Z. Przedświt	20	8
166.	Mickiewicz A. Konrad Wallenrod	26	10
167.	— Grażyna	26	10
168.	Szekspir W. Sen nocy letniej	50	20
169.	Świętuchowski A. Hymn niemych. — Wół	20	8
170.	Dyncowska M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego	40	15
171.	Szekspir W. Hamlet	72	30
172.	— Makbet	48	20
173.	— Romeo i Julia	48	20
174.	— Król Lir	48	20

Biblioteka Główna AP w Siedlcach

nr inw.: KG - 321



321